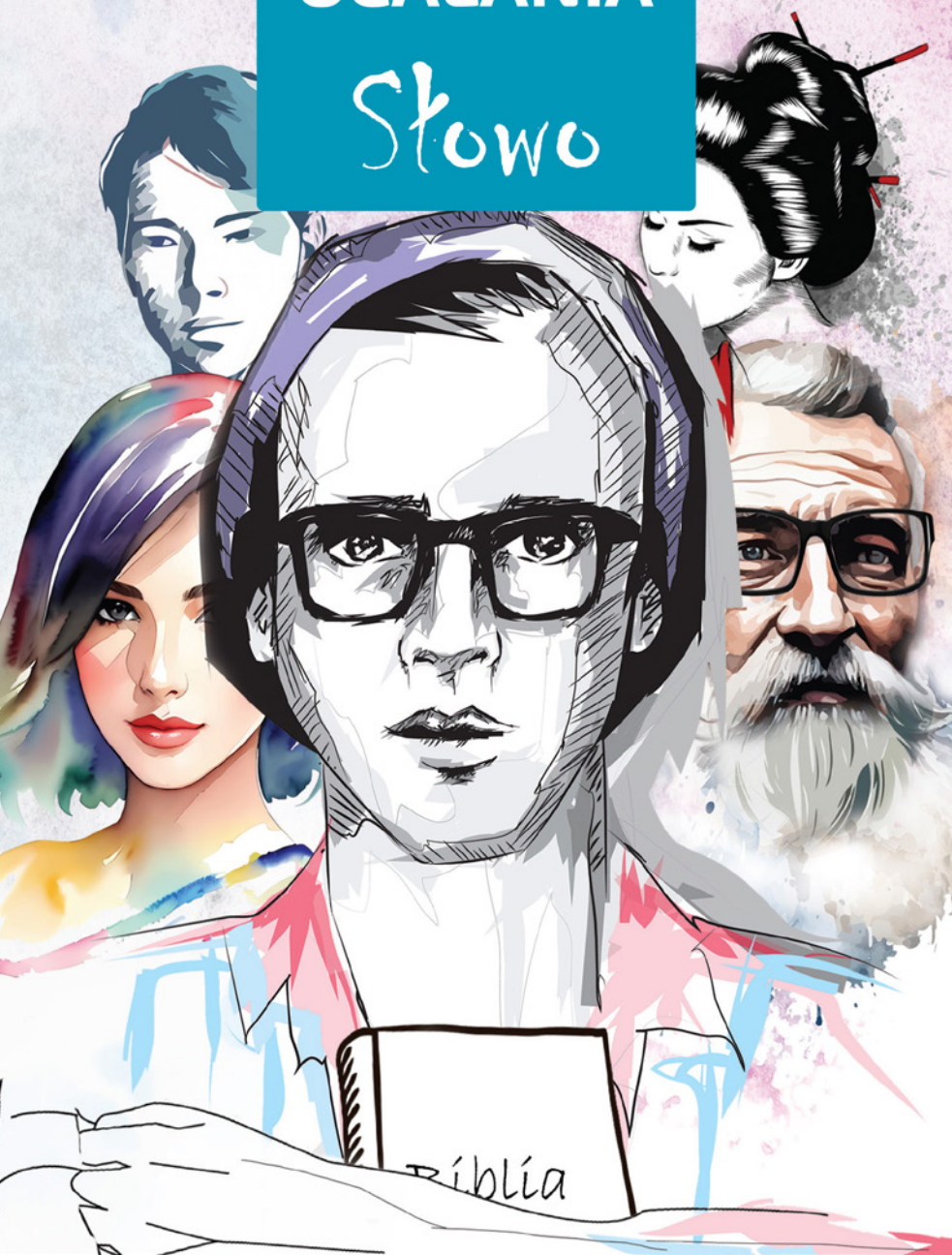




MISJA OCALANIA Słowo



MISJA OCALANIA

Słowo

© Copyright by
Biuro Misyjne Księży Werbistów, Kleosin, 2025

PRACA ZBIOROWA:

Justyna Ciborowska
O. Anthony Erragudi SVD
S. Aniela
O. Janusz Prud SVD
Dariusz Car
O. Wiesław Skowroński SVD
Kazimierz Matan
S. Dolores Zok SSPS
O. Tomasz Dudziuk SVD
O. Krzysztof Kołodyński SVD
O. Edward Sito SVD
Katarzyna Walenciej

KOREKTA

be correct – Edyta Chrzanowska

GRAFIKA

Depositphotos

OPRACOWANIE, SKŁAD I WYDANIE

Dom Misyjny Świętego Kazimierza – Misjonarze Werbiści
ul. Zambrowska 24, 16-001 Kleosin
tel. 85 747 49 65 www.werbisci-kleosin.pl

Za pozwoleniem władz zakonnych

ISBN 978-83-973171-9-2

DRUK:

Drukarnia Księży Werbistów
Górna Grupa, tel. 52 330 63 77
www.drukarnia-svd.com.pl

Wstęp

Bóg objawia się w swoim Słowie. Jego Słowo stworzyło cały wszechświat, Jego Słowo ma moc rozdzielającą dobro od zła niczym miecz obosieczny. Ono przenika aż do głębi wnętrza człowieka. To samo Słowo łączy ludzi w miłości i przyjaźni, niszczy mury wrogości i nienawiści. Ono uczy, jak żyć, jak przebaczać, jak kochać. To Słowo jest jak miód w gorzkim życiu pełnym cierpienia i bólu. Ono leczy rany, wprowadza pokój w serce. Jest drogą do życia wiecznego. Cały świat przeminie, a Jego Słowo pozostanie, Ono było, jest i będzie.

Na kartach tej książki możemy się wsłuchać w historię ludzi i ich spotkań z Bogiem w Jego Słowie. Wśród nich są: mąż, kapłan, żona, siostra zakonna, zakonnik, ojciec, czyjaś siostra, czyjś brat. Jeżeli chcesz, dołącz do tego grona, wsłuchaj się w Słowo Boga, zachwyć się Nim i pozwól, aby Cię przemieniało. Zapraszamy Cię do przygody ze Słowem Bożym!

Słowo roku

Tak się ciekawie złożyło, że w tym roku, po raz pierwszy w życiu wybrałam sobie słowo roku. Długo się zastanawiałam, które wybrać – czy miłość, czy wdzięczność, czy pokój... Ale żadne nie dawało mi takiego wewnętrznego poczucia, że wybrałam dobrze. Aż któreś niedzieli usłyszałam podczas Eucharystii fragment: „A Słowo stało się ciałem”. Pamiętam dobrze ten moment, bo aż się wyprostowałam ze zdumienia i uśmiechnęłam w duchu, bo moim słowem na ten rok ma być SŁOWO. To, które mówi do mnie przez Pismo Święte, to, które wypowiadają do mnie inni, to, które ja wypowiadam, to, które stało się ciałem!

Niejednokrotnie już mnie w życiu zaskakiwała Boża logika, bo mam takie wewnętrzne przekonanie, że ten etap mojego życia, w którym teraz jestem, jest mocno ze Słowem związany na wielu płaszczyznach. Przede wszystkim od jakiegoś czasu szukam odpowiedzi na moje pytania nie w internecie, nie wśród przyjaciółek, nie bazuję też na własnych wnioskach, ale sięgam po Pismo Święte. Na przykład ostatnio

pogorszyło mi się zdrowie: choruję na astmę, a do tego doszły kłopoty z sercem. Zaczęłam zadawać pytania: „Panie Boże, przecież nie jestem jeszcze w takim wieku, żeby biegać po specjalistach i się poważnie leczyć”. Nie mogłam tego ani zrozumieć, ani się z tym pogodzić. Sięgnęłam więc po Biblię, a tam fragment Ewangelii, który mówił o tym, że Pan Jezus wysłał apostołów na odpoczynek po ciężkiej pracy. Odpowiedź była dla mnie jasna – muszę odpocząć i zadbać o siebie. Niby proste, ale nie dla kogoś, kto każdą wolną chwilę wypełnia jak ja, działaniami.

Kolejnym ważnym dla mnie znaczeniem Słowa jest to, co wychodzi z moich ust. Czy to, co mówię do innych, pomaga im się podnieść, czy raczej ciągnie ich w dół? Czy prowadzi do nieba, czy do piekła? Czy jako kobieta posługuję się językiem kobiecym, spokojnym i kojącym, czy raczej, mówiąc kolokwialnie, „pluję jadem”? Im dłużej się nad tym zastanawiam, tym częściej milczę, zanim coś powiem.

I odwrotnie – czy słucham słów, które mnie rozwijają, dają mi pokój serca, tłumaczą i dają światło, czy takich, które oddalają od wieczności? Dzięki temu inaczej dobieram literaturę, filmy, muzykę. Wydaje mi się, że dzięki temu zaczynam inaczej wykorzystywać czas dany mi tu na ziemi.

Bardzo mocno wpatruję się w tym roku w Pana Jezusa, który jest dla mnie Słowem dającym światło i wskazującym kierunek.

Justyna Ciborowska, Polska

Wszystkim dla wszystkich

Urodziłem się na wsi w południowych Indiach. Moi rodzice, Józef i Maria, byli nauczycielami. Poza tym tato był katechetą w parafii. Był bardzo ceniony w pracy i okolicznych wioskach. Podczas każdej podróży do miasta kupował książki dla siebie i dla dzieci. Wielokrotnie dostawałem Pismo Święte dla dzieci z ilustracjami lub komentarzami, za każdym razem w innym wydaniu. Bardzo się z tego cieszyłem, bo lubiłem czytać Biblię, o wiele bardziej niż szkolne lektury.

Gdy byłem w czwartej klasie szkoły podstawowej, do mojej wioski doprowadzono prąd. Było to wielkie wydarzenie, bo do tego czasu używaliśmy jedynie lamp naftowych i wieczorne czytanie było utrudnione. Jako dziecko codziennie czytałem Pismo Święte na głos, a mieszkańcy mojej wioski, i to coraz liczniejsza grupa, słuchali mnie. Lubiałem czytać Księgę Rodzaju, Psalmy i księgi prorockie ze Starego Testamentu, natomiast z Nowego Testamentu najczęściej Ewangelie. Mój tato

komentował i także poprawiał mnie językowo. W ten sposób zaczęła się moja miłość do Słowa Bożego.

W mojej rodzinnej parafii posługiwał proboszcz, który był dla mnie przykładem wspianego, dobrego kapłana, i chciałem być taki jak on. Jako dziecko „odprawiałem” wielokrotnie msze dla rówieśników. Nieraz dorośli przypatrywali się temu i uważnie słuchali. Zawsze też miałem Pismo Święte w szkolnym plecaku. W ten sposób powoli rodziło się moje powołanie kapłańskie. Chciałem być księdzem diecezjalnym, bo nic jeszcze nie wiedziałem o istnieniu zakonów.

W mojej diecezji odbywały się kilkuetapowe rekolekcje powołaniowe do seminarium diecezjalnego. Wszystkie stopnie przeszedłem pozytywnie i zostałem przyjęty. Byłem gotów wstąpić do seminarium w diecezji. Gdy wszystko było gotowe, dwa dni przed rozpoczęciem formacji usłyszałem od jednego kleryka o Zgromadzeniu Słowa Bożego. Od tej pory coś nie dawało mi spokoju, ta nazwa mocno we mnie utkwiła. W końcu zdecydowałem się i powiedziałem: „Tak, chcę wstąpić do Zgromadzenia Słowa Bożego, to moja droga, moje powołanie”. I tak w 1994 r. poznałem werbistów w Indiach. Ponieważ do seminarium werbistowskiego zgłosiłem się już po rekolekcjach powołaniowych, musiałem zdać indywidualny egzamin. Bez problemu odpowiadałem na pytania z katechizmu, gdyż znałem je dobrze, poza tym niejednokrotnie zastępowałem tatę w prowadzeniu katechez. Egzaminujący mnie ojciec rektor był zaskoczony moją wiedzą – przede wszystkim

wiedzą na temat Pisma Świętego – oraz doświadczeniem religijnym i modlitewnym.

Na pierwszym roku studiów nauczyliśmy się m.in. języka angielskiego i historii zgromadzenia. Budziłem powszechne zdumienie znajomością Biblii, nie tylko wśród wykładowców, lecz także kolegów. Byli ciekawi, skąd znam tak dobrze Pismo Święte. A ja już jako dziecko, a więc zanim wstąpiłem do zakonu, kilkakrotnie od deski do deski przeczytałem je w moim ojczystym języku telugu. Później, już w seminarium, czytałem je wiele razy po angielsku. Czytanie Biblii, medytowanie nad nią to moja pasja, to księga życia, dzięki której poznaję Boga i szukam natchnienia. Na moje kapłańskie życie wybrałem cytat z Pierwszego Listu do Koryntian: „Stałem się wszystkim dla wszystkich...” (1 Kor 9,22).

Ogromnie cieszę się, że trafiłem do Zgromadzenia Słowa Bożego. Widzę w tym palec Boży, a nie żaden przypadek, bo przypadki są tylko w języku polskim. Radością napełnia mnie fakt, że założyciel werbistów, św. Arnold Janssen, czytał Słowo Boże dzień w dzień, i dlatego nadał zakonowi taką nazwę – Zgromadzenie Słowa Bożego. W roku 2012 miałem okazję uczestniczyć w kursie *Dei Verbum* w Nemi we Włoszech, podczas którego jeszcze bardziej pogłębiłem miłość do Pisma Świętego. Po prostu kocham je czytać, jest to list miłosny Pana Boga do swoich dzieci. Bóg rozmawia z nami poprzez swoje Słowo, bo wiemy że Ono stało się ciałem i zamieszkało między nami. Czytałem Pismo Święte w swoim ojczystym języku telugu,

po angielsku, po polsku, a teraz będę czytać po norwesku.

Od trzydziestu lat jestem zakonnikiem, dwadzieścia lat pracuję w Europie, od siedmiu lat w Norwegii, która jest protestanckim krajem. Niejednokrotnie spotykam się z sytuacjami, gdy protestanci pragną przejść na katolicyzm. Moja pasja do Słowa Bożego pomaga mi w przygotowaniu ich do tego i towarzyszeniu im. Znajomość Pisma Świętego przydaje się również w różnych dyskusjach z muzułmanami, bo mamy wiele wspólnych elementów, tłumacząc im, co nas łączy. W Norwegii nazywają mnie „spowiednikiem od Biblii”, bo wielu osobom jako pokutę dają fragment Pisma Świętego do czytania i medytowania.

Moim wielkim pragnieniem jest, aby każdy katolik czytał Słowo Boże, bo czytanie Go samo w sobie jest modlitwą, jest nawiązywaniem głębokiej, osobistej relacji z Bogiem. Chciałbym, aby każdy miał swój egzemplarz Pisma Świętego i je czytał. Ono jest do słuchania, a nie po to, żeby leżało na biurku lub stało wśród książek na regale. Nie jest po to, by sięgać po nie raz w roku w czasie Wigilii lub kłaść na stole z okazji wizyty duszpasterskiej.

o. Anthony Erragudi, Norwegia

Mów, Panie, bo sługa Twój słucha

Był to rok 2013. Jak się później dowiedziałam, w Kościele katolickim obchodzony był jako Rok Wiary. Rok autentycznego i nowego nawrócenia do Chrystusa. Wtedy to nie miało dla mnie żadnego znaczenia, nawet o tym nie wiedziałam. Wiara dla mnie nie istniała. Bóg??? Wiedziałam, że jest Coś... Ktoś... większy, mądrzejszy, kto to wszystko, zwłaszcza przyrodę – tak piękną i harmonijną – stworzył.

Miałam już 35 lat. Żyłam swoim szarym, nudnym życiem, w którym nie widziałam większego sensu. Praca, dom, potem na rower i do lasu, nad jezioro, w pole. Polana, książka do ręki. Gdy robi się ciemno, czas wracać. I tak dzień mija... Wszystko niby dobrze, niby w porządku, ale... Te wyprawy to nie dla relaksu. To dla zabicia czasu, wypełnienia jakiejś pustki, która była i której nie dało się niczym „zapchać”. Był to czas rozczarowań, zawodów, zdrad. Rozczarowanie płcią przeciwną. Zawiedli przyjaciele. A największym utrapieniem byłam sama dla siebie. Od innych można się odseparować.

Przyjaciół można zmienić. Od siebie nie uciekniesz, choćbyś wyjechał na koniec świata.

Pustkę wewnętrzną próbowałam zapełniać na rozmaite sposoby, ale nic nie dawało poczucia pełni, spokoju. Brak zrozumienia ludzi. Jakieś wyobcowanie. W pracy ciągle to samo. I po co to? Wstajesz. Jesz. Śpisz albo nie, bo nie dasz rady. Znowu wstajesz... Po co to wszystko?

Filmy – płytkie, bez głębi. Telewizję już dawno przestałam oglądać. Internet – wszyscy mądrzy, wszyscy mają rację. I tylko oni mają rację. To trzeba jeść, bo zdrowe i ma dużo magnezu. Tamto też, bo ma potas i żelazo. A to niszczy wolne rodniki. To 2 kg dziennie, to 5 kg, a tamto pół. Jednego z drugim nie można łączyć, bo się nie przyswaja. Muszą minąć trzy godziny. A wszystko gotować na parze. Ruszać się trzeba przynajmniej dwie godziny dziennie. Odpoczywać osiem. Leżeć na brzuchu nie można, na boku nie można, na wznak też. Trzeba dbać o czystość. Szampon do włosów. Płyn do twarzy, do rąk, do kąpieli, do części intymnych, do zębów. I sprzątać trzeba. Płyn do podłóg, spray do mebli, mleczko do zlewu i jeszcze ten kamień. A zarazki? Też płyn trzeba. Bo bakterie, bo grzyb, bo kurz, bo brud, bo smród i jeszcze te roztocza...

I ta wszechobecna nauka, biologia, psychologia, usprawiedliwiająca wszystko i wszystkich. Już nikt za nic nie odpowiada. Można zabić, a winny jest gen i rodzice lub ich brak. Prawda??? Wszyscy mają swoją... i nie można podważyć, zaprzeczyć, bo każdy ma prawo do swojej

własnej opinii. Wszyscy mają do wszystkiego prawo. Nie muszą się liczyć z nikim i niczym... Czy to jest życie? Jak tu żyć? Po co?

Pewnego razu, nie mogąc już tego wszystkiego znieść, wykrzyczałam z bólem serca: Boże, jeżeli jesteś, pokaż mi siebie, gdzie Ty jesteś!

W tym poczuciu bezsensu wybrałam się, by kupić kolejną książkę. Zachodzę, biorę do ręki to jedną, to drugą książkę. Rozglądam się już dłuższy czas. W końcu podchodzi pan:

– Czy w czymś pomóc? – pyta.

– Chciałabym jakąś dobrą książkę – odpowiadam.

– Może jakiś kryminał? – proponuje.

– Nie, już mam dosyć kryminałów.

– Może taka? – Kolejna propozycja.

– Nie – mówię stanowczo.

Kilka propozycji, kilka odpowiedzi negatywnych. Pan chwilę się zastanawiał i w końcu powiedział:

– Już wiem, co pani dam. – Przynosi i podając mi, mówi: – Ta książka odmieniła moje życie.

Zaciekawiona zapytałam:

– O czym to jest?

– Zobaczysz pani – odpowiedział.

Kupiłam i wyszłam.

Pojechałam, jak zwykle, na rowerze, tym razem nad jezioro. Wzięłam książkę i zaczęłam czytać. Jedna strona, druga, trzecia... Pojawia się słowo „Bóg”... Hmm? Czytam, czytam, ale nie przemawia to do mnie zupełnie. Zadzwoiłam do koleżanki, która mieszka 40 km ode mnie, a z którą może przez rok nie miałam kontaktu. Okazało się, że jest akurat niedaleko i przyjedzie do mnie nad jezioro. Przyjechała. Popatrzyła na książkę, którą czytałam, i zaczęła opowiadać o swoim nawróceniu. Myślę sobie – OK. Z wielkim oporem – OK. Pytałam, gdzie jesteś, więc może to znak... OK, pójdę za tym... W sumie i tak nie mam nic do stracenia.

Nie dałam rady czytać tej książki. W końcu doszłam do wniosku, że jeżeli mam już coś czytać o Bogu, to lepiej wezmę Pismo Święte. I tak zrobiłam. Znalazłam w domu Nowy Testament.

Bardzo poważnie potraktowałam te znaki, czując, że jest to odpowiedź Boga na moje desperackie wołanie. Zaczęłam czytać, myśląc sobie w duszy: „Skoro jesteś i pokazujesz, że tu jesteś, to będę czytać tak, jakbyś to mówił do mnie”.

Brałam wszystko na poważnie. Czułam wewnętrznie, że to wszystko prawda. W końcu ktoś mówi prawdę!!! Zaczęłam rozumieć niektóre wydarzenia z mojego życia, ale też wielu rzeczy, które czytałam, nie rozumiałam. Dopiero z czasem odsłaniał mi się sens. Zaczęły mi się otwierać oczy na własny grzech, chociaż dotąd myślałam o sobie, zresztą jak inni, że jestem dobra. Akurat... Czytając, widziałam sytuacje, w których robiłam źle, nawet nie zdając

sobie z tego sprawy. Czytając, a potem przetrawiając treść, zadawałam wiele pytań i nieraz od razu rozjaśniało mi się w głowie i przychodziły odpowiedzi na te pytania.

Ewangelia Mateusza (19,11–12): „Nie wszyscy to pojmują, lecz tylko ci, którym to jest dane. Bo są niezdadni do małżeństwa, którzy z łona matki takimi się urodzili; i są niezdadni do małżeństwa, których ludzie takimi uczynili; a są i tacy bezzenni, którzy dla królestwa niebieskiego sami zostali bezzenni. Kto może pojąć, niech pojmuje!”. To była jedna z pierwszych odpowiedzi na nurtujące mnie pytanie. Dlaczego nie mogę znaleźć sobie drugiej połówki? Niby już taka najgorsza to nie jestem. Wymagań wielkich nie mam: żeby mnie kochał i ja jego. Czułam się z powodu swojej samotności jakaś gorsza. W moim wieku to już tylko tematy dzieci, teściów, domy, ogrody, a ja? Coś ze mną nie tak. Ale nie wiem co. Ten fragment uwolnił mnie z kompleksu: po prostu nie jestem zdalna do małżeństwa – Jezus tak powiedział, więc tak może być i to normalne. Wtedy włożyłam siebie na półkę z napisem: niezdalna do małżeństwa, która się taka urodziła lub którą ludzie taką uczynili.

Pytałam ciągle i o wszystko. Nie tylko w trakcie czytania, ale chodząc, odpoczywając, pracując. Dostawałam odpowiedzi, często właśnie biorąc do ręki Pismo Święte. Zaczęłam też wiele rozumieć z wiary, z którą jednak od dzieciństwa miałam kontakt. Pytałam na przykład: „No dobrze, Jezu, ja tak czytam, czytam, ale tu za wiele to o Matce Bożej nie jest napisane, a w Polsce to czci się

Maryję tak, że nieznający naszej wiary mógłby pomyśleć, że to jakaś bogini. Jak to jest?”. I przy najbliższej okazji czytam: „Wtedy Maryja rzekła: «Wielbi dusza moja Pana, i raduje się duch mój w Bogu, moim Zbawcy. Bo wejrzał na uniżenie Służebnicy swojej. Oto bowiem błogosławić mnie będą odtąd wszystkie pokolenia, gdyż wielkie rzeczy uczynił mi Wszechmocny»” (Łk 1,46–49). Aha... teraz rozumiem.

Nabrałam zwyczaju całe wieczory spędzać z Bogiem. Modlitwa ustna i oczywiście Pismo Święte. Nie traktowałam Boga jako dalekiego, ale Tego, który stał się moim najbliższym przyjacielem i którego mogę o wszystko pytać, nawet o błahe rzeczy, których nie rozumiałam. Czytałam na przykład o cudzie uzdrowienia kobiety z krwotoku: „Podeszła z tyłu i dotknęła frędzli Jego płaszcza, a natychmiast ustał jej upływ krwi” (Łk 8,44). No dobrze, myślę sobie, uzdrowiłeś kobietę, ale frędzle? Jak to frędzle? Mężczyzna z frędzlami? Jak to jest, Jezu? I tak zostałam z tym pytaniem do następnej lektury. Miałam już wtedy zakupioną całą Biblię – Stary i Nowy Testament. Wieczorem usiadłam, otwieram Pismo Święte, żeby sobie coś poczytać, i wzrok mój pada na rozdział *Frędzle przy szatach*. No i wszystko się wyjaśniło. „Powiedz Izraelitom, niech sobie zrobią frędzle na krajach swoich szat [...], byście w ten sposób o wszystkich moich przykazaniach pamiętali, pełnili je i tak byli świętymi wobec swojego Boga” (Lb 15,38–40). No tak. Wielu rzeczy jeszcze nie wiem i nie rozumiem...

Były okresy, gdy jakieś tematy, przykładowo moje grzechy czy konkretne sytuacje z Biblii, jakoś szczególnie były „brane na tapetę”. Któregoś wieczoru, gdy tak czytałam Ewangelię św. Jana, konkretnie o Ostatniej Wieczerzy, po prostu zostałam wchłonięta. Tak dogłębnie rozumiałam treści, myśli moje i uczucia były jakby złączone z uczuciami i myślami Jezusa. Wiedziałam, że to szczególna łaska. Słowami tego nie umiem opisać, ale duszę przeniknęło takie światło poznania, że pojmowałam wszystko, każdy szczegół. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, dlaczego miałam taką łaskę. Myślałam, że z czasem będę tak dogłębnie i przenikliwie rozumieć całe Pismo Święte.

Tak upływał czas na ciągłych rozmowach z żywym Bogiem. Trafiłam też do wspólnoty parafialnej. Poznałam wspaniałych ludzi, z którymi wspólnie szukaliśmy i poznawaliśmy Pana Boga. Miałam przyjaciółkę, z którą przez pewien czas szłyśmy podobną drogą. Nawet prawie jednocześnie przerabialiśmy te same tematy. Pan Bóg pouczał nas w tych samych sprawach w podobnym czasie. Już do tego jakoś się przyzwyczaiłam. Aż tu nagle ona mówi, że coś się jej przytrafiło. A mi nie... I tak chodziłam z tymi myślami i pytaniami: dlaczego ja tej łaski nie otrzymałam, dokąd Bóg ją prowadzi... I tak się zastanawiałam sama w sobie. Wieczorem siadałam i coś... Pan dał odpowiedź, chociaż Go nie pytałam. Pokazał mi sytuację, w której Piotr pyta, co będzie z Janem: „Panie, a co z tym będzie? Odpowiedział mu Jezus: «Jeżeli chcę, aby pozostał, aż przyjdę, co tobie do tego? Ty pójdź za Mną!»” (J 21,21–22).

Zrozumiałam, że ona ma swoją drogę, a ja swoją. Mam się nie wtrącać i niepotrzebnie ciekawić, jak Pan kogoś prowadzi, całą zaś swoją energię przeznaczyć na to, aby iść za Nim.

Nachodziły mnie też myśli o pójściu do zakonu, lecz szybko je odpychałam, myśląc, że jestem za stara. Ale powracały. Odpychałam... Powracały... W końcu pytam Pana: „To jak to, Panie Jezu, ze mną jest? Czy ja mam to powołanie, czy nie mam? Może jednak powinnam poszukać sobie męża?”. Byłam wtedy w drodze, specjalnie jakoś nie oczekiwałam, że dostanę odpowiedź. Wróciłam do domu. Wieczór, otwieram Pismo Święte. Wzrok pada na fragment: „Małżonkiem twoim jest twój Stworzyciel” (Iz 54,5). Rozpłakałam się. Dziś jestem siostrą zakonną poślubioną swemu Stworzycielowi. Moim Oblubieńcem jest Jezus. „Jam miłego mego, a mój miły jest mój” (Pnp 6,3). Sercem charyzmatu mojego zgromadzenia jest Wieczernik, Ostatnia Wieczerza. Znalazłam Tego, który mnie ukochał odwieczną miłością. Moje życie nabrało sensu.

Pan Bóg nie jest odległym, niezidentyfikowanym obiektem czy powietrzem, którego nie można złapać. Pan daje się poznać. „Szukajcie Pana, gdy się pozwala znaleźć, wzywajcie Go, dopóki jest blisko!” (Iz 55,6). Bóg daje się poznać tym, którzy Go szukają. Ludzie, chcąc stworzyć relacje, poznać się nawzajem, rozmawiają. Z Panem Bogiem jest tak samo. Często mówi do nas przez wydarzenia, innych ludzi, ale przede wszystkim przez Pismo Święte, które nie bez powodu nazywamy Słowem Bożym. To jest

Słowo Boga do mnie. Tak poznaję Boga i poznaję siebie. Prawdziwego Boga i prawdziwego siebie.

Dzieje się tak, gdy nie szukam potwierdzenia własnych opinii i nie traktuję Biblii tak, jakby była magiczną księgą, z której mogę wyczytać przyszłość. Ale gdy szukam szczerym sercem samego Boga, Jego chcę poznać, Jego zdanie na mój temat, na temat mojego życia. Gdy zadaję pytania, może czasem dziecinne, ale z czystą intencją – Pan Bóg odpowie, bo chce być w zażyłej relacji z każdym swoim dzieckiem. Bo kocha każdego. I czeka...

s. Aniela, Polska

Moje spotkanie ze Słowem

Moje doświadczenie osobistego spotkania ze Słowem Boga, czyli Pismem Świętym, rozpoczęło się dość późno. Po raz pierwszy wziąłem Biblię do ręki w czasie formacji kapłańsko-zakonnej, czyli w wieku około 20 lat. Wziąłem, gdyż taki był wymóg formacji i akademickiego programu. Czytałem Biblię, ponieważ musiałem zdać egzaminy i wypełnić zasady formacji.

Przed wstąpieniem do Zgromadzenia Słowa Bożego nigdy osobiście nie wziąłem do ręki Pisma Świętego. Nikt mnie ani nie nauczył, ani nie zainspirował, aby szukać prawdy o Bogu i sobie poprzez czytanie, medytację i wprowadzanie w życie Słowa Bożego (Mt 7,24).

Korzystałem z Pisma Świętego w pierwszych latach kapłaństwa i misyjnej pracy, ale jedynie w celu przygotowania kazań czy prelekcji na temat wiary. Doświadczenie jej kryzysu było swego rodzaju inspiracją i motywem, aby otworzyć Pismo Święte i osobiście szukać w nim prawdy o Bogu i sobie.

W lutym 1995 roku wylądowałem w Botswanie. Było to moje pierwsze misyjne przeznaczenie. Nowe język, kultura, zwyczaje czy klimat były swego rodzaju wyzwaniem, ale nie tak poważnym, aby „burzyć” schematy wiary. W Botswanie spotkałem wiele innych wyznań, religii i sekt. W Polsce, dorastając w atmosferze praktycznie tylko jednego wyznania (Kościół katolicki), nie umiałem zrozumieć i wewnętrznie przyjąć faktu, że Bóg wraz ze Swoją miłością był żywy i obecny we wspólnotach innych wyznań. Zabrzmi to dziwnie, ale moja wizja wiary umarła.

Ziarno musi umrzeć, aby wydać plony (J 12,24). Mój schemat wiary runął w gruzy. Stałem „nagi” wobec Boga i samego siebie. Nie wiedziałem, jak rozmawiać, modlić się i adorować Boga. Nie rozumiałem, a tym samym nie umiałem zaakceptować samego siebie i powierzonych mi misji. Po prostu pustka i rozczarowanie. Nie wiedziałem, gdzie i jak zacząć poszukiwania sensu życia i prawdy o sobie.

To On, sam Bóg, zaproponował Pismo Święte. Zainspirował i zachęcił, abym uczył się prawdy o sobie i o Nim w Jego Słowie. W taki sposób rozpoczęła się przygoda mego osobistego poznania, spotkania i wyboru Boga jako mojej Drogi, Prawdy i Życia (J 14,6). Codziennie czytałem, adorowałem i uczyłem się wprowadzać Słowo Boga w życie. Tak narodziła się nowa perspektywa wiary, zbudowana „na skale” (Mt 7,25).

o. Janusz Prud SVD, Filipiny

Czytam, tylko nikomu nie mów

Zdarzyło się to w Sajgonie w Wietnamie. Było piękne popołudnie. Wraz z przyjaciółmi wybierałem się na zwiedzanie miasta. Zatrzymaliśmy się na podmiejskim przystanku. Podeszedłem do rozkładu jazdy.

– Przepraszam – usłyszałem za sobą kobiecy głos – czy jesteś chrześcijaninem?

Młoda Wietnamka, około 18 lat, palcem wskazała na krzyż na mojej piersi, po czym raz jeszcze szepnęła:

– Czy jesteś chrześcijaninem?

– Tak – odpowiedziałem raczej automatycznie, bo zaskoczyło mnie jej pytanie. – Tak, jestem – powtórzyłem, widząc uśmiech rysujący się na jej twarzy.

– Poczekaj chwilę. – Odwróciła się i podeszła do leżącego na ławce plecaka. Chwilę grzebała w środku i wróciła z telefonem komórkowym w rękę. – Coś ci pokażę – szepnęła i chwilę

manipulowała w komórce. – Zobacz, to jest Pismo Święte – uśmiechnęła się i szybko dodała: – Czytam je codziennie.

Chciałem coś powiedzieć, pogratulować czy pochwalić.

– Codziennie je czytam – powtórzyła z dumą w głosie, po czym szybko dodała, kładąc palec na ustach: – Tylko nikomu nie mów.

Uśmiechnęła się raz jeszcze, chwyciła plecak i szybkim krokiem weszła do autobusu, który właśnie zatrzymał się na przystanku.

„Codziennie je czytam, tylko nikomu nie mów” – jej głos towarzyszył mi przez następnych kilka dni. Nie wiedziałem, dlaczego. Nie wiedziałem, co powinienem zrobić. W końcu zdjąłem Pismo Święte z półki i położyłem je na biurku obok laptopa. Zacząłem czytać codziennie jeden rozdział z Ewangelii. Kiedy skończyłem Nowy Testament, zaczynałem od początku.

Minęło około pół roku. W końcu zaświecił promyk w moim umyśle i sercu. Zrozumiałem, że codzienne czytanie Pisma Świętego to nie intelektualne pogłębianie wiedzy o Bogu i samym sobie, ale raczej budowanie relacji. To było takie proste – chodziło o budowanie relacji ze Słowem, które jest życiem (J 6,68). Relacji, która dojrzewała do przyjaźni, aby w końcu przeżywać piękno intymnej miłości. To doświadczenie stało się nowym kontekstem codziennego zanurzenia się w lekturze Pisma

Świętego, medytacji i wprowadzania Słowa Boga w arkana życia.

Zrozumiałem, dlaczego należy codziennie czytać Słowo Boga i go słuchać. Zrozumiałem, że doświadczenie głębokiej relacji ze Słowem nie wymaga mówienia, nie wymaga wielu słów. Radość przeżywanego życia, która jest jakby ucztą przygotowaną przez samego Boga w sercu człowieka, jest najpiękniejszym sposobem dzielenia się i głoszenia Dobrej Nowiny.

o. Janusz Prud SVD, Filipiny

Pusty kamień

W kontekście codziennych wydarzeń jest wiele gestów, słów i postaw, które budzą w nas wszystko, co najlepsze. Na przykład wystarczy obraz młodego człowieka ustępującego miejsca starszej osobie w autobusie, aby poczuć dobro, które wypełni całą przestrzeń w nas i wokół nas. Innymi słowy, miłość budzi miłość, dobroć wyzwala dobroć, a prawda czyni człowieka wolnym.

Wydarzyło się to w Tutume w Botswanie. Niedzielnny poranek. Odsuwam zasłony. Promienie porannego słońca wypełniają pokój.

– Obudziło się nowe życie – pomyślałem. – Nowy dzień.

Zaspanym nieco wzrokiem obserwuję misję. Cisza i pustka. Msza rozpocznie się dopiero za godzinę. W pewnej chwili spojrzenie zatrzymuje się na postaci starszej osoby. Mężczyzna, około 75 lat, siedzi na kamieniu pod drzewem mopane (gatunek występujący w południowej części kontynentu afrykańskiego). W jego postawie nie byłoby

nic dziwnego, gdyby nie leżąca na jego kolanach otwarta Biblia.

– Niecodzienny obrazek – pomyślałem.

Nie odchodzę od okna. Serce bije szybciej, a w umyśle kielkują nowe idee. Obserwuję starszego mężczyznę, który czyta, medytuje i modli się słowami Boga zapisanymi w Piśmie Świętym. Dobroć i wdzięczność pojawiają się na horyzoncie moich uczuć i myśli. Starszy mężczyzna miał na imię Kelebesto. Zostaliśmy przyjaciółmi.

Pewnej niedzieli odsunąłem zasłony i ku mojemu zdziwieniu zobaczyłem pusty kamień. Nie było Kelebesta, nie było otwartej Biblii na jego kolanach.

– Już powinien być – pomyślałem i spojrzałem na zegarek.

Po południu pojechałem na jego małą farmę, około 20 km od misji.

– Wyjechał – powiedziała starsza kobieta, jego siostra. – Wróci dopiero za dwa miesiące.

– Dwa miesiące – powtórzyłem, ukloniłem się i odjechałem.

Przez kilka następnych niedziel eksperymentowałem. Kładłem otwarte Pismo Święte na kamieniu, wracałem do pokoju i obserwowałem. Nie zanotowałem ani przyspieszonego bicia serca, ani budzących się nowych uczuć. Jedynie intelekt skomponował kilka nowych idei.

– Sama Biblia była jedynie słowem pisanym – pomyślałem.

Słowo Boga ożywia się w relacji z człowiekiem. Człowiekiem, który bierze Pismo Święte do ręki, otwiera je, czyta, medytuje i zatapia się w modlitwie.

Kelebesto stał się żywym świadkiem Słowa. Sprawił, że zapisane w Biblii raz jeszcze stało się Ciałem i zamieszkiwało w naszej rzeczywistości. Ciekawe jest to, że on nigdy nie wygłosił ani kazania, ani prelekcji, ani żadnej nauki na temat Pisma Świętego. Mimo to Słowo żyło w nim i przez niego. Często słyszę piękne kazania i prelekcje na temat Pisma Świętego. I co widzę? Kilka zaledwie osób pogrążonych w modlitwie i medytacji Słowa Boga. Kilku zaledwie zakochanych w Słowie Chrystusa. Nie czekajmy na świadectwo innych. Pokochajmy Tego, który stał się Ciałem. Niech Jego miłość stanie się inspiracją i motywacją do tego, abyśmy wzięli Pismo Święte do ręki, otworzyli je i zanurzyli się w lekturze, medytacji i modlitwie.

o. Janusz Prud SVD, Filipiny

Poznać, nie rozumieć

Regularne czytanie i słuchanie Słowa Boga to kolejny krok w procesie budowania zażyłej relacji z Chrystusem i z samym sobą. Jedynie w tej relacji jesteśmy zdolni poznać prawdę o Bogu i człowieku.

Zdarzyło się to na Filipinach. Młoda, około 23-letnia dziewczyna przyleciała z Kambodży do Manili, aby studiować na uniwersytecie (De La Salle University Manila). Studiowaliśmy na jednym roku psychologię. Pewnego dnia kupiła Pismo Święte i zaczęła je czytać regularnie.

– Dlaczego to robisz? – zapytałem, widząc ją zanurzoną w lekturze.

– Po prostu chcę poznać waszego Chrystusa – odpowiedziała. Chentha była buddystką i po raz pierwszy usłyszała imię „Jezus” na Filipinach.

– Rozumiesz, co czytasz? – Nie ukrywałem zdziwienia.

– Niezbyt wiele – odpowiedziała. Potem uśmiechnęła się i dodała, pocierając palcami

po kartkach otwartej Biblii: – Ja nie chcę Go zrozumieć, ja chcę Go poznać, a bez spotkania i bez słuchania nie ma poznania.

Weź Pismo Święte do ręki. Zanim jednak je otworzysz i zaczniesz czytać, zadaj sobie proste pytanie: „Czy ja wierzę i kocham Jezusa?”. Odpowiedź pomoże Ci zrozumieć Twoją obecną relację i doświadczenie – entuzjazm lub obojętność – ze Słowem Boga. Wybór tego, kogo słuchasz i co czytasz, nie zależy jedynie od dobrych czy złych postaw innych ludzi. Mają oni duży wpływ, nie możemy temu zaprzeczyć, jednak ostateczny wybór należy całkowicie do Ciebie.

Często słyszę: „Nie mam czasu na modlitwę”. Inni dodają: „Nie czuję potrzeby, aby się modlić”. A wielu po prostu się nie modli. Dlaczego? Codzienne obowiązki? Brak czasu? Czy brak zrozumienia, czym jest modlitwa?

Moja znajoma z Kambodży, studentka Chentha, z którą uczęszczałem na zajęcia statystyki i metod badawczych w psychologii, od kilku dni przygotowywała się do egzaminów.

Był poranek, dzień egzaminów. Długo zastanawiałem się, czy wysłać jej bardzo prosty tekst: „Czy chcesz, abym pomodlił się za Ciebie?”. Wiedziałem, że nie tylko wyznawała, lecz także praktykowała buddyzm. W końcu nacisnąłem klawisz z napisem „WYŚLIJ”. Minęły dwie lub trzy minuty,

usłyszałem krótką melodyjkę, przyszła wiadomość: „Tak, tak – czytałem – proszę, módl się za mnie”. Po czym przyszła seria krótkich tekstów. „To jest niesamowite”, „Siła i moc modlitwy wprawiają mnie w zachwyty”.

Chwila ciszy, nie odpisywałem. Czekałem. Telefon znowu zawarczał. „Wasz Chrystus, którego nie znam, ale czytam o Nim, ma przeogromną moc i modlitwą możesz tę moc sprowadzić na ziemię”. Poczułem lekki dreszczyk na całym ciele. Serce zaczęło bić szybciej. Telefon znowu zawarczał: „Ja jeszcze nie umiem modlić się do Chrystusa” – pisała. „Po prostu Go nie znam”. Po chwili dodała: „Ale czytam Biblię”.

„Ja Go nie znam”, pisała młoda studentka, buddystka z Kambodży. Ileż prawdy było w jej tekstach. Nie można modlić się do Kogoś, kogo się nie zna. Dlaczego? Ponieważ modlitwa to relacja intymnej przyjaźni dwóch osób. A nie rytualne recytowanie tekstów, które czasami może okazać się „czczeniem wargami”, gdy serce jest daleko od Boga (Mt 15,8).

Relacja miłości oparta jedynie na słowach to iluzja. Miłość to bliskość serca i całkowite zaufanie. Ta relacja jest źródłem i motorem modlitwy. Chentha nie mogła się do Niego modlić, ponieważ „Go jeszcze nie знаła”, jak sama napisała. Modlitwa nie jest więc przypadkowym spotkaniem i „groteskowym” pozdrowieniem przypadkowej osoby na ulicy, dla przykładu. Doświadczenie modlitwy rozpoczyna się od wyboru, spotkania, słuchania i medytacji, czyli osobistego poznania Chrystusa.

Kiedy przeżywasz relację miłości z Bogiem, wówczas znikają z Twego słownika powiedzenia: „nie mam czasu”, „jestem zmęczony”, „nie czuję się, aby się modlić”. Raczej wejdiesz do „swej izdebki”, zamkniesz drzwi, aby spotkać się na modlitwie z ukochaną Osobą.

Chentha kupiła Pismo Święte, aby poznać Chrystusa. Mogła przecież pytać ludzi wierzących. A jednak wybrała drogę osobistego spotkania poprzez czytanie i medytację Słowa, które stało się Ciałem. Pytała natomiast wówczas, kiedy nie umiała zrozumieć pewnych tekstów.

Jeden z wydziałów psychologii na uniwersytecie w Manili zobowiązał nas – było nas czworo: dwóch z Kambodży, jeden z Mjanmy i ja – abyśmy przeprowadzili badania wśród ludności tubylczej (*indigenous*) mieszkającej w górach, w północnej części wyspy Luzon na Filipinach.

– Wyruszymy wcześniej rano w niedzielę – zaproponowałem.

– Rano, czyli o której godzinie? – Ożywionym głosem zapytał mnie jeden z członków grupy.

– Czwarta, najpóźniej piąta – wyjaśniłem. Była to daleka wyprawa, autobusem około cztery godziny, a następnie dwie godziny pieszo w góry. – Przecież umówiliśmy się, że wracamy tego samego dnia.

– To niemożliwe – odpowiedziała Chentha z Kambodży.

– Niemożliwe co? – zapytałem.

– Jutro jest niedziela i rano idziemy na mszę do kościoła – mówiła o kościele katolickim.

– Do kościoła? Po co do kościoła? – wyrwało mi się. – Przecież wy nie wierzycie w Boga.

– Jeszcze nie – odparła.

– Więc po co idziecie do kościoła? – Byłem po prostu ciekaw.

– Tam jest coś takiego... – Zamilkła na chwilę, jakby szukała słów. Po czym dodała: – Tam jest wiele dobra, ciepła, tam jest radość. Jest tam coś, czego nigdy przedtem nie doświadczyliśmy.

Uśmiechnęła się i stanowczym głosem stwierdziła:

– My musimy iść do kościoła w niedzielę rano. Wyruszymy później.

Zrobiliśmy tak, jak powiedziała.

Znam osoby, które zdobyły akademickie tytuły w dziedzinie biblijnej, a mimo to nie przeżywają bliskiej relacji ze Słowem. Znam osoby, które regularnie czytają i medytują Pismo Święte, a mimo to brakuje im radosnego doświadczenia wiary.

– Jest tam coś, czego my jeszcze nie rozumiemy – powiedziała studentka z Kambodży.

Uważam, że bez regularnego czytania i medytacji Słowa Boga, a zarazem wprowadzania go w realia codziennego życia nie będziemy umieli do końca „zrozumieć” tajemnicy Boga w Komunii świętej. Doświadczenie przyjaźni ze Słowem Boga

to nie tylko czytanie i medytacja. To również, a nawet przede wszystkim spożywanie tego Słowa w Eucharystii. Jest to wybór i osobiste zaangażowanie czy przyzwolenie, aby Słowo tym razem stało się Ciałem w Tobie.

o. Janusz Prud SVD, Filipiny

Słowo Boga uzdrawia myśl człowieka

Czym jest myśl? To słowo, które raz wypowiedziane, ustami czy czynem, staje się życiem. A życie to światło, czyli potencjał rozwoju, zdolność poznawania, wolność wyboru i odwaga osobistego zaangażowania.

Jest również myśl, która nie ma nic wspólnego ze światłem. Wprowadza w realia codziennego życia raczej chaos, lęki, niepokoje i zwątpienie. Innymi słowy, ciemność ogranicza perspektywy poznawania, wolność wyboru i entuzjizm osobistego zaangażowania. Jest to produkt tego, który nie kocha życia. Propaguje raczej egzystencję. Ciemność nie ma jednak mocy, aby pokonać światłość. Człowiek z natury pragnie życia, a tym samym odrzuca ciemność. Ale często nie wie, gdzie i jak szukać Życia, czyli Światła. Nie wie, jak uzdrowić myśli, które sprzeciwiają się życiu.

Obudził się wcześniej rano. Leżał z zamkniętymi powiekami. Martin po prostu lękał się spojrzeć w oczy własnym myślom. Było w nich wiele

niepokoju i zwątpienia. Zawsze ta sama historia – co inni powiedzą i czy podoła ich oczekiwaniom.

– Nie mogę w nieskończoność bać się innych. –
Każdego poranka prowadził ze sobą ten sam dialog.
– Nie mogę ciągle bać się samego siebie, porażek i niepowodzeń. – Uważnie jednak słuchał jakiegoś nowego głosu w sobie, który powtarzał: „ja chcę żyć”.

Otworzył oczy, odruchowo chwycił telefon komórkowy. Nie, tym razem go nie otworzy. Wstał, podszedł do biblioteczki. Chwilę przyglądał się okazałemu zbiorowi książek. Wiedza była jego silną bronią i perspektywą na życie. Tak przynajmniej mu się wydawało. Wybrał *Moc umysłu* (*Power of Mind*), jego wieloletni przewodnik po życiu. Przez moment czytał zakreślone przez siebie ulubione teksty.

– Tyle razy próbowałem i tyle razy wracałem do punktu zerowego. – Przypominał sobie entuzjazm i rozczarowania. Odłożył książkę na półkę. – Co robić? Jak uzdrowić własne myśli?

Logika milczała.

Chrystus uczy, że „dobry człowiek z dobrego skarbcza swego serca wydobywa dobro” (Łk 6,45). Nic nie wspomina o mocy umysłu czy nagromadzonej wiedzy. „Dobry skarbiec” to miłość Boga, którymi są Jego obraz i podobieństwo zapisane w sercu człowieka. Poznawanie siebie i doświadczenie prawdy pomagają rozpoznać skarbiec serca i wybrać moc, miłość Boga, która nie tylko leczy myśli człowieka, lecz także stwarza nowe serce i „nowego ducha” (Ez 36,26).

Proces uzdrowienia rozpoczyna się od wyrażenia – wypowiedzenia słowem lub czynem – własnych myśli. Ważne, aby człowiek usłyszał samego siebie, a tym samym doświadczył tego, co wewnętrznie przeżywa.

Usiadł przy biurku. Położył dłonie na otwartych stronach Biblii. Obecność, miłość i cisza wypełniły jego serce i duszę. Przez ostatnie trzy miesiące Martin regularnie słuchał Słowa Boga i je medytował. Czytał dwie strony trzy razy w tygodniu – w niedziele, w środy i piątki. Otworzył oczy i zaczął czytać: „Jeżeli kto mnie miłuje, będzie zachowywał moją naukę, a Ojciec mój umiłuje go, i przyjdziemy do niego, i będziemy u niego przebywać” (J 14,23). Zastanowił się chwilę.

– O co tu chodzi? – Logika, która przez ostatnie trzy miesiące przyglądała się praktykom Martina, przerwała milczenie. – Ta miłość to jakaś iluzja... Nic z tego nie rozumiem.

Przez wiele lat Martin skrupulatnie budował wizję i perspektywę rozumienia siebie i świata, które były całkowicie oparte na zdolnościach umysłu i ciężkiej pracy. Wszystko inne, jak na przykład nieracjonalne wydarzenia i wierzenia, Martin odsta-
wił na boczny tor. Logika, która była panią wydarzeń i sukcesów, nie umiała tym razem zrozumieć miłości Boga, o której mówiła Biblia.

Martin czuł się zakłopotany. Nie wiedział, jakich użyć argumentów, aby to wytłumaczyć i zachęcić umysł do współpracy. Wstał od biurka. Ukląkł na dwa kolana i wziął Pismo Święte do ręki. Od tej pory czytał i słuchał słów Boga w pozycji klęczącej. Logika i schematy myślowe po raz kolejny zamilkły.

Regularne czytanie i słuchanie Słowa Boga jest swego rodzaju wyzwaniem – z jednej strony dla wypracowanych schematów myślowych, a z drugiej strony dla bliskich osób. Wprowadza zamieszanie i niepokój, a zarazem zdziwienie. Konsekwentnie pojawiają się głosy niezadowolenia, sprzeciwu i protestu. Nie podejmuj jednak żadnych poważnych dyskusji czy polemik, uklęknij na dwa kolana, weź Biblię do rąk i zacznij czytać i słuchać Słowa Boga.

Minie kilka tygodni, może miesięcy. Logika i inni nie przestaną się dziwić. Więcej, w poczuciu pewnej zadumy zaczną skrycie obserwować Twoją postawę i doświadczenie. Otworzą się nowe perspektywy spotkania i poznawania prawdy, a schematy myślowe przestaną Cię nękać, niepokoić i ograniczać to, kim właściwie jesteś. A Twoi bliscy odłożą telefony komórkowe i wyłączą telewizory. Wezmą Pismo Święte do ręki, otworzą je i zaczną czytać i słuchać Słowa Bożego. Regularne z nim spotkania to również proces uzdrawiania lęków i niepokojów myśli i uczuć.

o. Janusz Prud SVD, Filipiny

Słowo stwarzające

Przez całe życie szukałem prawdy i miałem poczucie, że istnieje świat, który – mimo że nie jestem w stanie dostrzec go oczami – jest czymś bardziej realnym niż ten, który widzę. Nie mając przykładu żywej wiary w domu rodzinnym, już jako nastolatek zacząłem szukać prawdy poza Jezusem, którego uznałem tylko za jedną z wielu możliwości. Pragnąłem życia duchowego, więc praktykowałem jogę, medytację transcendentalną, wyznawałem szeroko rozumiany New Age, rozwijając swoją świadomość, dążąc do doskonałości, w której ostatecznie to ja sam stawiałem się w centrum. Wybierałem te prawdy, które mi odpowiadają, jednocześnie odrzucałem te, które mi nie pasowały. Byłem bogiem sam dla siebie, zarazem żyjąc nieodpowiedzialnie. Nie byłem szczęśliwym człowiekiem.

Trzydzieści lat temu Bóg, widząc tęsknotę mego serca i to, że z całych sił dążę do poznania prawdy, odpowiedział na to moje pragnienie. Wykorzystał moje doświadczenia wykraczające poza barierę świata zmysłowego, ponieważ praktykując rzeczy,

które wcześniej wymienilem, odczuwałem istnienie różnych bytów duchowych. Bóg poprzez różne wydarzenia pokazał mi, że wszystko, w co do tej pory wierzyłem, to zwodzenie demonów, które pod pozorem pięknych idei próbują zasłonić mi prawdę o Jedynym prawdziwym Bogu. Bogu, który jest miłością, Bogu, który stworzył mnie na swój obraz i podobieństwo i który pragnie, bym mógł Go poznać i odnowić w sobie ten obraz.

Pewnego razu zaprosiłem Jezusa do swego życia, mówiąc Mu: „Jezu, wierzę, że jesteś Panem świata materialnego i niematerialnego, ale ja Cię nie znam. Ja do tej pory tylko o Tobie słyszałem. Chcę Cię poznać”. Dzięki łasce wiary w jednej chwili moje spojrzenie na świat, na siebie, na wszystko wokół się zmieniło. Wiedziałem, że mam jedno życie, które jest niezwykle cenne. Dałem się prowadzić Bogu, to On postawił na mojej drodze kapłana, który mi pomógł. To Bóg wyprowadził mnie ze środowisk, w których wcześniej byłem, przyprowadził do wspólnoty. Zacząłem każdego dnia namacalnie doświadczać Jego obecności, prowadzenia, jakby niewidzialna moc zaczęła objawiać się w moim życiu.

Po tym gdy dałem Bogu przyzwolenie na wejście w moje życie, zacząłem czytać Jego Słowo, by Go poznać. Zacząłem chodzić na Eucharystię, po wielu latach wypowiadałem się, Jego Duch zaczął przemieniać moje życie i moje wnętrze. Jakie znaczenie ma w tym Słowo Boże? Wierzę, że tak jak pisał Święty Jan Ewangelista, Słowo jest tym, które stworzyło wszystko do istnienia, jest tym, które mnie stworzyło, które mnie zna, przenika, i nie jestem w stanie żyć

prawdziwie, nie znając tego przedwiecznego Słowa. Słowa, które ogarnia wszystkie istoty swą miłością. Słowa, które pragnie działać w moim sercu, które ma moc większą niż cała broń tego świata, bo może zmieniać moje życie.

Przez te kilkanaście lat rozważania czytań z każdego dnia, poprzez Ewangelię Bóg bardzo konkretnie do mnie mówi, by nadać swoim Słowem kierunek. Tłumaczy rzeczywistość i pokazuje mi prawdę o mnie. Poprzez Słowo mogę poznać to, jaki jest Bóg, a rozważając je na modlitwie, poprzez Ducha Świętego może działać na głębinach mej duszy w sposób, jakiego nie jestem w stanie nikomu wytłumaczyć. To najcenniejsza i najintymniejsza relacja, jaka istnieje.

Dziesięć lat temu zostałem mężem. Na ślubie dostaliśmy od wspólnoty Pismo Święte. Kiedy podejmujemy jakieś ważne decyzje, kiedy mamy do Boga bardzo ważną sprawę, zawsze modlimy się, prosząc Go o światło, o Jego Słowo. Kilka lat temu dostałem telefon od pewnej osoby z zapytaniem, czy chciałbym dołączyć do zespołu grającego na imprezach eventowych. Wcześniej zrezygnowałem z tego typu działalności, ponieważ wierzyłem, że Bóg nie chce, bym swój talent wykorzystywał w taki sposób. W pierwszej chwili odmówiłem, natomiast później zacząłem się zastanawiać i kalkulować, że byłby to dodatkowy przychód rzędu 20–30 tysięcy złotych rocznie, i od razu pojawił się w mojej głowie plan budowy domu itd. Zaczęliśmy z żoną modlić się w tej sprawie, prosząc Boga o Jego Słowo. Modliliśmy się z wiarą i z ufnością, pragnąc przyjąć i poznać wolę Bożą. Gdy otworzyliśmy

Biblię, tę, którą dostaliśmy w dniu ślubu, odczytaliśmy tekst. Był on jakby skierowany przez Boga prosto do nas: „Tak mówi Pan Zastępów: Ten lud powiada: «Jeszcze nie nadszedł czas, aby odbudowywać dom Pański». Wówczas Pan skierował te słowa przez proroka Aggeusza: Czy to jest czas stosowny dla was, by spoczywać w domach wyłożonych płytami, podczas gdy ten dom leży w gruzach?” (Ag 1,2–4). Z jednej strony przyjęliśmy to słowo, z radością, że Bóg zechciał tak konkretnie odpowiedzieć, a z drugiej z poczuciem obowiązku i jeszcze większą gorliwością do tego, że nie mamy budować własnych domów, że są to bardziej namioty, a my mamy budować dom i Królestwo Boże.

Tydzień później byłem na spotkaniu odpowiedzialnych za wspólnotę, na które przyjechało wiele osób z całej Polski, i w trakcie modlitwy wielu z nich cytowało Księgę Aggeusza, właśnie ten fragment, który rozważałem wcześniej z żoną. Było to kolejne potwierdzenie, jak konkretny jest Bóg, i że jeśli pragniemy Go usłyszeć, to On z chęcią mówi. Jest to jeden z setek, tysięcy przykładów tego, jak Bóg konkretnie pragnie poprzez swoje Słowo działać w moim życiu. Przede wszystkim zmieniając moje serce, napełniając je, dając pokój, czasem upominając. Wszystko po to, bym szedł Jego drogą do zbawienia. Bóg nie ma innego celu niż ten, bym poznał prawdę i był z Nim na zawsze. Tak więc Słowo, które mnie stworzyło, stwarza mnie cały czas na nowo, bym był godny stanięcia twarzą w twarz z moim Bogiem.

Dariusz Car, Polska

Moc Słowa

Kiedy pracowałem w parafii pw. Najświętszego Serca Pana Jezusa w stolicy Meksyku, jedna z grup parafialnych zwana „Cursillistas de Cristiandad” zorganizowała spotkanie regionalne swoich członków. Chodziło konkretnie o podzielenie się świadectwami na temat zakończonych rekolekcji. Ludzie przynależący do tej grupy zapraszają inne osoby do przeżycia osobistego spotkania z Jezusem w czasie rekolekcji, których podstawą jest rozważanie Słowa Bożego w celu pogłębienia osobistej relacji z Bogiem. Potem uczestnicy rekolekcji zostają członkami grupy w swoich parafiach, dzielą się Słowem Bożym, prowadzą rozważania biblijne, wspólnie się modlą i uczestniczą w stałej formacji. Specyfiką tej grupy jest też to, że należące do niej osoby dzielą się świadectwem wiary ze swoimi najbliższymi, z rodziną.

Otóż po odbyciu takich rekolekcji kilka osób podzieliło się doświadczeniem osobistego spotkania z Bogiem, opowiedzieli o tym, jak to wpłynęło na pogłębienie ich wiary oraz poprawę relacji

z najbliższymi. Prawie wszystkie panie mówiły (bo tym razem to były rekolekcje żeńskie), że ich mężowie i dzieci czekali na nie przed wejściem do domu rekolekcyjnego. Wiele z nich dostało kwiaty, w domu powitano je smaczną kolacją albo tortem. Były bardzo wzruszone i wdzięczne swoim rodzinom.

Ale jedna z uczestniczek zaskoczyła nas wszystkich. Już na samym wstępie powiedziała, że jej świadectwo nie będzie takie radosne. Zaznaczyła, że zna bardzo dobrze swoją rodzinę, i wiedziała, że nikt nie będzie na nią czekał ani w miejscu rekolekcji, ani tym bardziej w domu. „Nie łudziłam się nawet przez chwilę – powiedziała – ale Słowo Boże zmieniło we mnie coś konkretnie. Od czasu rekolekcji nie narzekam na moją rodzinę ani na mój los. Podstawowa zmiana polega na tym, że już ich nie przeklinam”. W swojej wypowiedzi użyła bardzo ostrego meksykańskiego sformułowania odnoszącego się do matki, obraźliwego wyrażenia, które jest wielkim przekleństwem. Krótko mówiąc, nie obrzuca już przekleństwami matki i innych osób, jak to robi wielu Meksykanów, kiedy są wściekli. Osobiście to świadectwo o mocy Słowa Bożego – wyrażone w konkretnej życiowej, nieraz brutalnie twardej rzeczywistości – poruszyło mnie dużo bardziej niż pozostałe.

o. Wiesław Skowroński SVD, Meksyk

Besaleel i Oholiab

Mam na imię Kazimierz, mam 56 lat, jestem mężem, ojcem i od niedawna dziadkiem. Słowo Boże jest obecne w moim życiu prawie od początków mojej świadomości, ale na różnych etapach poznawałem je na różne sposoby i w różnym stopniu pozwalałem mu się prowadzić.

W dzieciństwie było to uczestnictwo w niedzielnej mszy świętej i mniej lub bardziej świadome słuchanie Liturgii Słowa. Najpierw w towarzystwie rodziców, potem samodzielnie, jako ministrant słuchałem biblijnych opowieści odczytywanych z ambony. Gdy zostałem lektorem, sam zacząłem to Słowo odczytywać w czasie mszy innym. To było pierwsze doświadczenie, które mnie z nim związało.

Z czasem zacząłem odczuwać potrzebę lepszego poznania Biblii i „ułożenia” sobie w głowie tych wszystkich opowieści, które w dosyć fragmentaryczny sposób pojawiały się w liturgii na konkretne dni roku. Ciekawiło mnie, co dawało Hiobowi siłę do znoszenia nieszczęść, dlaczego Jonasz tak bardzo

nie chciał, by Niniwa się nawróciła, dlaczego w czasach Jezusa jest król Herod, ale faktycznie wszystkim rządzą Rzymianie, czym była owa tajemnicza „zasłona przybytku”, która w chwili śmierci Jezusa rozdarła się na dwoje.

Gdy poszedłem na studia, a potem wszedłem w codzienność dorosłego życia, te pytania jakby we mnie przygasły, przestałem się nimi interesować. Tyle spraw do załatwienia, tyle wielkich zmian wokół, praca, obowiązki, dzieci. W pewnym momencie poczułem jednak, że muszę coś zmienić w swoim życiu, że muszę przestać skupiać się tylko na tym świecie. Gdy zaczął się mój proces nawrócenia, gdy zacząłem więcej i lepiej się modlić, Słowo Boże jakby samo mi o sobie przypominało.

Pewnego dnia (prawdopodobnie był to wtorek, 10 czerwca 2014 roku) usłyszałem w radiu, że pisanie ręczne pomaga na różne dolegliwości neurologiczne. Ponieważ miałem drobne, ale nasilające się problemy z rękami, postanowiłem spróbować i zacząć coś ręcznie pisać. Tylko co? Nie będę przecież pisał głupot, które mi ślina na język przyniesie. Mój wzrok przypadkiem (lub nie) padł na Pismo Święte. Przypomniałem sobie, że w starożytności i średniowieczu było ono przepisywane ręcznie. I wtedy zrodziła się we mnie decyzja – będę przepisywać Biblię. Kilka minut później znalazłem brulion w kratkę w formacie B5 i zacząłem. „Na początku Bóg stworzył niebo i ziemię”. Od tego dnia codziennie starałem się zapisywać w tym brulionie mniej więcej jedną stronę, co zajmowało mi zwykle niecałe pół godziny. Wbrew obawom, które się we mnie

po pewnym czasie pojawiły, nie zrezygnowałem i kontynuowałem przepisywanie.

Księga po księdze, brulion po brulionie, w mojej głowie opowiadania biblijne zaczynały stopniowo układać się w spójną całość. Z jednej strony czułem, że jest to forma modlitwy, bo przecież własną ręką kreśliłem na papierze znaki, które są Słowem Boga skierowanym do ludzi, czyli także i do mnie. Z drugiej strony był to sposób na zdobycie konkretnej wiedzy, zapamiętanie faktów, uzupełnienie luk w mojej wiedzy biblijnej.

Pewnego dnia byłem na mszy świętej i kapłan w trakcie homilii wspomniał o budowie Arki Przymierza i Namiotu Spotkania. Powiedział: „Na polecenie Mojżesza zbudowało ją dwóch Izraelitów, nie pamiętam jednak ich imion”. Uśmiechnąłem się wtedy od ucha do ucha i uświadomiłem sobie, że byłem chyba jedyną obecną w tym momencie w świątyni osobą, która wiedziała, że tymi budowniczymi byli Besaleel i Oholiab.

26 września 2022 roku, ponad trzy tysiące dni od rozpoczęcia przepisywania, zapisałem ostatnie zdanie Apokalipsy i w ten sposób zakończyłem swoje przedsięwzięcie. Przez osiem lat zapisałem w sumie czternaście brulionów, które stanowią teraz moją prywatną, bardzo osobistą kopię Pisma Świętego.

Moja przygoda ze Słowem Bożym bynajmniej się na tym nie zakończyła. Niecałe dwa lata po rozpoczęciu przepisywania Bóg zaprosił mnie na kurs ewangelizacyjny „Historia Zbawienia” prowadzony przez Białostocką Szkołę Nowej Ewangelizacji.

Uczestniczyłem w różnych kursach, ale ten szczególnie przypadł mi do serca. Po pewnym czasie sam zacząłem na nim posługiwać i teraz mam ten zaszczyt, że mogę głosić innym Słowo Boże i opowiadać im o tym, ile mogą nauczyć się z dziejów Abrahama, Mojżesza czy Dawida, jak wiele łączy ich z innymi bohaterami obecnymi na kartach Biblii. Bo Pismo Święte to nie jest historia o kimś kiedyś, ale o mnie dzisiaj.

Kazimierz Matan, Polska

Honorowe miejsce

Kiedyś uczono mnie, że trzeba bardzo respektować wierzenia innych, bez względu na swoją akceptację. Wielu ludzi na naszej misji w Levubu nosi na przykład na szyi różaniec, wierząc, że będzie ich strzegł w każdej niebezpiecznej chwili. Czasami nawet wieszają go na drzwiach domów czy na głównych ścianach, ponieważ wierzą, że wszyscy domownicy będą strzeżeni od złego. Nasi katolicy bardzo mocno wierzą również w moc wody święconej. Każdy chce mieć w domu chociaż małą butelkę, a kiedy pojawiają się złe myśli, smarują tą wodą czoło, po to by wróciły uśmiech i pokój serca. W niektórych domach można też zauważyć małe pudełko z tłuszczem lwa. To jest szczególne zabezpieczenie dla mężczyzn, którzy zawsze chcą być silni, ważni i nie chcą stracić swojej pozycji społecznej i w rodzinie. Używając codziennie tłuszczu lwa, wierzą, że są niepokonani... a inni ich szanują.

Główny nauczyciel religii z naszej wioski zawsze nosi ze sobą Biblię i pierścionek swojej zmarłej matki. Mówi, że to są dla niego święte

rzeczy. Każdy dzień rozpoczyna czytaniem Pisma Świętego, a później prosi swoją matkę, by była z nim w danym dniu, gdziekolwiek go życie zaprowadzi. Wiara w przodków i ich obecność jest bardzo silna w całej Afryce. Każdy w swoim domu ma jakieś małe rzeczy należące do osób z rodziny, które już odeszły. Te znaczące drobiazgi leżą na honorowym miejscu w głównym pokoju.

Nasz ogrodnik żyje sam, bo żona z małym dzieckiem zginęli w wypadku samochodowym dwa lata temu. W jego skromnym pokoju nie ma żadnego honorowego miejsca z pamiątkami po żonie i dziecku. Zapytałam kiedyś, czy ma jeszcze obrączkę małżonki i drobiazgi dziecka. Zamyślił się na chwilę, a później powiedział: „Zaraz po śmierci rozdałem wszystko, obrączkę sprzedałem i kupiłem sadzonki najpiękniejszych kwiatów, które już zawsze będą kwitnąć w moim ogrodzie. Ten ogród i moje serce to honorowe miejsce, gdzie oni na zawsze pozostaną żywi i nikt ich stąd już nie zabierze... Kiedy siedzę w moim ogrodzie i rozmawiam z nimi w moim sercu, czuję ich obecność, wiem, że są ze mną i na zawsze pozostaną, dlatego chcę żyć i być ogrodnikiem”. Dzięki miłości dwóch ludzi i ich obrączce jeden z ogrodów w naszej wiosce jest pełen najpiękniejszych kwiatów... Nawet krótkie życie może sprawić, że stajemy się wieczni w honorowych miejscach tego świata...

s. Dolores Zok SSPS, Afryka Południowa

Niepozorny...

Nasz lekarz, taki niby niepozorny człowiek. Przyjeżdża zawsze bardzo szybko, wita się ze zgromadzonymi ludźmi, następnie z pracownikami, a potem jego światem są chorzy. Jest trochę inny od pozostałych lekarzy, niepozorny, małomówny. Ale pacjenci bardzo go lubią, bo włada biegle ich językiem, poświęca im swój czas, rozmawia o ich ogrodach, polach, o deszczu, a to sprawia, że chorzy czują się dowartościowani i ich życie wydaje się komuś ważne.

Kiedy wyjeżdżał z naszej misji, przyszedł załatwić jakieś urzędowe sprawy. Powiedziałam mu wtedy, że pacjenci są z niego bardzo zadowoleni. On nieśmiało się uśmiechnął i rzekł: „Mój ojciec zawsze powtarzał, że umiejętność słuchania innych i zainteresowania się tym, co małe i niepozorne, to klucz do boskiego i ludzkiego serca. Mam dwiętnaścioro rodzeństwa i trzech z nas jest lekarzami. To było zawsze pragnieniem naszych matek, ponieważ ojciec miał trzy żony, więc każda z nich chciała choć jedno dziecko oddać na służbę innym, biedniejszemu, choremu. I tego nasze matki uczyły nas od początku. Dlatego chciałem zostać lekarzem, by spełnić życzenie mojej matki i by służyć innym tak, jak potrafię. W moim rodzinnym domu każdego wieczoru siadaliśmy wszyscy do stołu, ojciec czytał psalmy czy historie o Jezusie, a nasze matki były odpowiedzialne za śpiewy. Nawet dziś znam je wszystkie na pamięć. To one modliły się za mnie przed każdym egzaminem i oddawały Bogu

moją i mojego rodzeństwa przyszłość. Ojciec czytał Biblię... o tym zawsze pamiętam!”.

Kiedy wychodził, zauważyłam w jego kieszeni małą książeczkę. Zapytałam o tytuł, a on popatrzył i przeczytał: „*Psalm*y i ewangelie – zawsze są ze mną, zaczynam pracę modlitwą i kończę, tak jak mój ojciec, który już nie żyje”. Pozostawił swoją Biblię, która jest na honorowym miejscu w domu, gdzie żyją jego trzy żony, i codziennie wieczorami ją czytają, o to prosił całą swoją rodzinę przed śmiercią. Nasz lekarz żyje bardzo szybko, ludzie szukają go co chwila, bo ciągle ktoś jest bardzo chory albo chcą mu powiedzieć, że tym razem spadło wystarczająco deszczu... On sam mało mówi, a w chwilach przerwy czyta Biblię i szuka sensu w swoim życiu i w życiu swojej rodziny. Nie wszystko rozumie, nie szuka wielkich odpowiedzi, ale swoją najlepszą część oddaje innym, wierząc, że to ma największy sens.

s. Dolores Zok SSPS, Afryka Południowa

Słowo...

Dziś rano, kiedy modliliśmy się za chorych, pewna kobieta wstała i podziękowała za modlitwę. Jej dziecko żyje... porusza się i zaczyna powoli wypowiadać krótkie słowa. Stała wyprostowana i zaczęła opowiadać: „Zaraz po naszym wypadku samochodowym dziecko pozostało nieprzytomne i lekarze mówili, że to kwestia dni. Nie miałam tyle pieniędzy, by przewieźć je do większego miasta, do lepszego szpitala. Było sztucznie odżywiane i ludzie mówili, że żyje jak roślina, nawet nie otwierało oczu, ale to moja jedyna córka, nie mogłam pozwolić, by odeszła. Chodziłam każdego dnia do szpitala, siadałam na parę minut i powtarzałam jej ciągle jedno i te same słowa: kocham cię, pamiętaj... I odchodziłam, mając nadzieję, że będzie żyła. Po kilku tygodniach dziecko zaczęło się ruszać, otwierać oczy i szukać mojej twarzy, a ja ciągle powtarzałam to samo: kocham cię, pamiętaj... Te słowa przywróciły życie mojej córce, bo tylko miłość uzdrawia, zmienia, leczy, jest jedynym powodem, dla którego żyjemy, walczymy, staramy się być

lepsi. Chyba dlatego moja córka otworzyła oczy, bo usłyszała te przedziwne, magiczne słowa, które przywróciły jej życie”. Wszyscy w kościele zaczęli dziękować Bogu za te słowa, które przywróciły jej córkę do życia.

Po modlitwie wstał pewien mężczyzna w podeszłym wieku i powiedział: „Mój syn zmarł i szaman, do którego się udałem, wskazał na jednego ze starszych członków rodziny, który według snów i głosów przodków był winny tej śmierci. Uwierzyłem w te słowa... i zabiłem niewinnego człowieka. Kilkanaście lat przeżyłem w więzieniu, straciłem nie tylko syna, lecz także żonę, bo odeszła z innym, i dzieci, które nie chcą słyszeć o ojcu, który część życia spędził w więzieniu. Uwierzyłem w słowa, które mnie zniszczyły, które zniszczyły moją rodzinę i moje życie”.

Są takie słowa, które niszczą nas samych! Mówiąc źle o innych, w pewien sposób zabijamy ich w naszym małym świecie, nie dajemy im szansy. Słowa ranią, usuwają sen naszych nocy, zabierają słońce z jasnych dni i sprawiają, że życie w nas umiera... Ale jest też inna moc – dobrych słów, które zmieniają świat, powodują, że ludzie się uśmiechają i chcą być lepsi.

„Słowo było u Boga, i Bogiem było Słowo [...] Wszystko przez Nie się stało [...] w Nim było życie [...] Słowo stało się ciałem i zamieszkało wśród nas”. Są takie SŁOWA, które rodzą Boga w człowieku, budują drogę do nieba, zmieniają nasze serca w świątynię. Nawet w małej zapomnianej

stajence to Słowo znajduje miejsce, jak w każdym
ludzkim zranionym sercu... Ludzkie i boskie Słowo
daje moc, by człowiek stał się na nowo dzieckiem
Boga, Króla Wiecznej Miłości!

s. Dolores Zok SSpS, Afryka Południowa

Znam Pasterza

W naszej kaplicy misyjnej w Levubu zrobiło się ciasno. Dziś przyszło wyjątkowo wielu ludzi. Jeden z przybyłych jest znanym publicznym mówcą. W przyszłości chce zostać aktorem. Pięknie mówi po angielsku, wymawia każde słowo bardzo wyraźnie. Ludzie lubią go słuchać. Po naszych modlitwach niektórzy chcieli coś zaprezentować. Grupa małych dzieci przygotowała taniec, młodzież piękne śpiewy, a starsi czytali urywki z Pisma Świętego. Nasz znany mówca wyrecytował pięknie Psalm 23 – Pan jest moim Pasterzem. Ludzie długo bili brawa, byli wprost zachwyceni przepięknym sposobem tego przedstawienia.

Na końcu wyszedł jakiś nieznany, niepozorny chłopak i poprosił o chwilę ciszy. Wyglądał na biednego i niezbyt wykształconego człowieka. Stanął na środku i zaczął odmawiać ten sam Psalm 23: „Panie, Ty jesteś moim pasterzem!”. Nagle w całej kaplicy zaległa cisza. Niektórzy nawet płakali, bo jeszcze nikt nie modlił się tym psalmem w taki sposób. Nie było braw, zachwytu, śmiechów, ale cisza jak makiem zasiał, tak jakby każdy myślał w tej chwili o własnym życiu. Kiedy już prawie wychodził, zapytano go, jak to się stało, że w tak niesamowity sposób poruszył ludzi tym psalmem. Chłopak zwrócił swoje spojrzenie na przyszłego aktora i krótko odpowiedział: „Widzisz, ty znasz Psalm 23 na pamięć i każde słowo pięknie recytujesz. Ja za to znam Pasterza, znam Go osobiście. Dziś rano z Nim rozmawiałem i czynię to każdego poranka”.

Znam Pasterza osobiście, powiedział ten biedny chłopak i szybko zniknął. Nie potrzebował wielu słów, by wyrazić to, co najważniejsze, to, co czyni go wielkim naprawdę – jego wierność wobec Pasterza. Przypomniała mi się wielka piosenkarka Afryki – Brenda Fassie. Można powiedzieć, że miała w życiu tak naprawdę wszystko, co niektórzy nazywają szczęściem: pieniądze, władzę, popularność, przyjaciół, kochanków, wielki talent. Jednak potrzebowała dodatkowo narkotyków, by żyć, i odeszła zbyt szybko z tego świata. Napisała w swoim notatniku: „Nie wiem, co to miłość, wierność i szczęście, nie potrafię żyć pustką moich dni”. Takich ludzi są dziś tysiące, ludzi szukających tak naprawdę dobrego Pasterza – sensu w codzienności.

Nasz młody chłopak na koniec powiedział: „Znam Pasterza, to źródło mego szczęścia, którego mi nikt nie odbierze, nikt i nigdy! Dziś rano z Nim rozmawiałem i tak zaczynam każdy poranek mego szczęśliwego życia”.

s. Dolores Zok SSpS, Afryka Południowa

Biblia do trumny

Bóg daje nam swoje Słowo jako pokarm i jako przewodnika, ono nas wzmacnia i nadaje kierunek naszemu życiu. Nasza codzienność bez niego jest martwa. Widać to na przykładzie zwyczajów grzebania ludzi w kraju, w którym pracuję, czyli na Łotwie.

Jako kapłani poszukujemy najlepszych dróg i sposobów, by pomóc ludziom odkryć Boga w ich życiu. Nie zawsze wiemy, jak to zrobić, szczególnie w tak trudnych momentach jak pogrzeb ich najbliższych. Czasem obawiamy się, że popełnimy jakiś błąd, że może kogoś zgorszymy albo zdenerwujemy jakąś decyzją.

Jedną z trudniejszych sytuacji w mojej pracy duszpasterskiej na Łotwie był pogrzeb katolika, który nie chodził do kościoła. Jedni księża nie zgadzali się na przewodnictwo obrzędowi pogrzebowym, twierdzili, że pogrzeb w świątyni jest niezgodny z wolą zmarłego, który w czasie swojego ziemskiego życia do niej nie chodził. Inni kapłani mówili, że nie można zmierzyć wiary i nie wiadomo, czy dana osoba nie chodziła do innego kościoła.

Ktoś inny powiedział, iż są ludzie, którzy w kościele pojawiają się tylko dwa razy i za każdym razem są do niego wnoszeni – podczas sakramentu chrztu i w czasie pogrzebu. Opowiadano mi o księdzu na Łotwie, który nie chciał pochować katolika, gdyż ten nie przychodził do kościoła. Wierząca i praktykująca rodzina (dalsza rodzina!) bardzo prosiła duchownego o pogrzeb katolicki. Zapytał wtedy o znaki wiary wierzącego – czy widzieli go modlącego się, czytającego Pismo Święte, czy modlił się przed posiłkiem. Gdy rodzina potwierdziła niektóre z tych znaków, z wielkim trudem zgodził się przewodniczyć obrzędowi pogrzebowym.

Przez wiele lat nie potrafiłem odpowiedzieć na pytanie o pogrzeb niepraktykującego katolika. Z czasem sami Łotysze mi na nie odpowiedzieli. Rodzina katolicka, która nie chodzi do kościoła, nie zna swojego pasterza. Po śmierci członka rodziny nie szukają księdza. Dzwonią do firmy pogrzebowej, a ta załatwia wszelkie formalności i proponuje osobę, która może przewodniczyć obrzędowi w kaplicy cmentarnej. Zazwyczaj jest to nauczycielka, która umie powiedzieć ładny wiersz o słonecznikach ustawiających się do słońca, o księżycu świecącym wśród gwiazd na niebie, o czystych rzekach, które rozbryzgują do góry wodę, płyną swoim torem do morza niosąc życiodajną wodę ludziom strudzonym codzienną pracą, o wiosnie przychodzącej po ciemnych i mroźnych dniach zimowych, o pszczołce uwijającej się w pracy na pachnących kwiecistych łąkach i polach... Nauczycielka mówi pięknym literackim językiem. Jest w stanie zaśpiewać odpowiednią

piosenkę, a nawet zagrać na jakimś instrumencie. Odmawia także jakąś modlitwę, na przykład *Ojcze nasz*, *Zdrowaś Mario*, aby pogrzeb wyglądał na katolicki. W czasie pogrzebu można dostrzec krzyż, który zostanie ustawiony na mogile zmarłego, obrazek świętego, może różaniec i książeczkę do nabożeństwa w trumnie.

Przypominam sobie pewnego człowieka, który przygotowywał się do pogrzebu mamy. Przyszedł do naszego kościoła, podszedł do stoiska z książkami i czegoś szukał. Kiedy mnie zobaczył, zapytał, czy może kupić Biblię, różaniec i obrazek jakiegoś świętego. Wyjaśnił, że umarła jego mama i potrzebuje tych rzeczy, aby je włożyć do trumny. Powiedział też, że niewiele wie o katolikach, o wierze i ceremonii pogrzebowej. Pogrzeb ma być za parę dni i nie potrzebują księdza. Obrzędem będzie przewodziła osoba świecka, prawdopodobnie nauczycielka, która wygłosi mowę pożegnalną oraz powie wiersz o przemijalności natury i człowieka. Znajdzie się także człowiek, który zagra odpowiednią melodię i zaśpiewa pieśń. A ponieważ żaden z wymienionych elementów nie jest związany z wiarą katolicką, to aby wyglądało, że chowa się katoliczkę, trzeba uzupełnić ceremonię katolickimi „detalami” – Biblią, różańcem i obrazkiem. Dla ludzi niechodzących do kościoła i niewiele wiedzących o wierze, a uczestniczących w pogrzebie, będą one świadectwem, że zmarła była katoliczką. Człowiek ten zaskoczył mnie swoim pytaniem. Do tego stopnia, że nie wiedziałem, co mam mu odpowiedzieć, bo było to całkowite niezrozumienie wiary katolickiej.

Po chwili ciszy powiedział, że bardzo pragnie wypełnić swój plan „ubogacenia obrzędu pogrzebowego”. Był nawet gotów zapłacić każdą cenę za poszukiwaną księgę. Powiedziałem mu, że w naszym sklepiu nie ma Biblii. W swoim pokoju mam darmowe egzemplarze Pisma Świętego, ale nie mam zamiaru umieszczać ich w trumnie. Jeżeli chodzi o różaniec, poradziłem, aby włożył ten, którym zmarła posługiwała się podczas modlitwy. Syn odparł, że jego matka pochodziła z Łatgalii (Inflanty), gdzie większość mieszkańców stanowią katolicy. A różaniec, którego używała, porwał się. W takiej sytuacji sprzedałem mu nowy i zgodziłem się na włożenie go do trumny wraz z obrazkiem świętego. Nie wiedziałem jednak, czy mówi prawdę, czy tylko pragnie jakoś wyjść z tej sytuacji i zdobyć choć część rzeczy, po które przyszedł.

Kiedy mój rozmówca odszedł, przemyślałem sobie wszystko jeszcze raz. Niestety, wiara niektórych ludzi jest martwa. Zamiast czytać Biblię, wolą włożyć ją do trumny. Ta święta księga przestaje być Słowem życia, a staje się martwą literą, którą zamyka się w trumnie. Słowo Boże zostało dane wierzącym do czytania, aby pogłębiali swoją wiedzę o Bogu i świecie, zdobywali mądrość życia. Biblia nie jest po to, by stała na półce, lecz po to, by codziennie z niej korzystać. Nie jestem jednak przeciwnikiem wkładania do trumny Pisma Świętego, którego dana osoba używała przez całe życie. Podobnie jest z różańcem – jeśli był używany każdego dnia i pozostał namacalnym znakiem wiary i przywiązania do Chrystusa.

o. Tomasz Dudziuk SVD, Łotwa

Z Biblią o poranku

Grudzień 2007 roku. Vohilava Avaratra, diecezja Mananjary, wschodnie wybrzeże Madagaskaru. To już kolejny dzień mojego tournée w dystrykcie Mahavoky. Jestem tu pierwszy raz w życiu. Od kilku miesięcy pomagam w tej parafii. Czekam na przeznaczenie do nowej misji.

Kończę odprawiać mszę świętą. Kaplica jest bardzo skromna. To takie 8–10 metrów długości na 4 metry szerokości. W środku ławki zrobione z powkopywanych kołków, na które są nabite nieociosane nawet dobrze żerdzie. Miejsce na ołtarz jest na dwudziestocentymetrowym podwyższeniu usypanej ziemi, którą przytrzymuje deska z przodu. Na środku prosty stolik, trochę się dygocze. Chowam paramenty liturgiczne, a do kaplicy wchodzi na powrót katechista.

– Ojcie, idziemy jeść – wykrzykuje z radością. Rozumiem go. Dla Malgaszów to szczególna celebracja. Nigdy ryżu nie ma za wiele, a jak jest gość, to miski będą wypełnione i to nawet z czubkiem.

– Dobrze, *andao mihinam-bary* – odpowiadam utartym potwierdzeniem, że „idziemy jeść ryż”.

Lubię ten moment. To, co najważniejsze, spełnione. Teraz chwila oddechu. Okazja do rozmów i poznania tej wspólnoty. Po obiedzie mam wyruszyć, aby odwiedzić wszystkie chrześcijańskie rodziny w tej wiosce. Przechodzimy pomiędzy domostwami. Domki są bardzo blisko siebie. Dochodzimy do domu szefa klanu, u którego witano mnie przed południem kawą.

– Proszę wejść. – Słyszę potwierdzenie zaproszenia do środka. Zajmuję miejsce przy południowej ścianie.

– Proszę usiąść. – Katechista ręką wskazuje mi miejsce, a za nim wchodzi jeszcze kilka osób ze starszyny wioskowej. Gospodyni rozkłada pospiesznie matę, którą skrętnie zamiata przed ułożeniem talerzy. Na środku ląduje kopiaisty garnek dymiącego z gorąca ryżu. Szybko rozkłada łyżki. Na końcu stawia garnek z loaką, czyli „dodatkiem” do ryżu. Dziś to młody kurczak, posiekany na kawałki tak, aby każdy otrzymał choć małą porcję.

– Ja ojca już spotkałem – zagaduje jeden z mężczyzn.

– Tak?! – pytam zaskoczony. Jestem tu pierwszy raz w życiu, więc myślę, że może pomylił mnie z kimś innym.

– Byłem w odwiedzinach w Ambakoana, kiedy z ojcem Alexem nauczaliście o Biblii. Czy to nie był ojciec?

– Taaak – odpowiadam z zaskoczeniem. – Towarzyszyłem ojcu Alexowi. To musiał być 2004 rok. Byłem wtedy klerykiem i odbywałem praktykę w dystrykcie Vohilava.

– Czy to prawda, ojcze?! – zapytuje rozemocjonowany katechista. – W takim razie może ojciec tu nas nauczy, jak modlić się Pismem Świętym?!

– No... To nie takie proste. – Szukam wymówki. – Przecież mamy za chwilę odwiedzać rodziny! – odpowiadam wytrącony trochę z tematu. – Ten kurs robi się w normalnym trybie tydzień, ale prawda, że czasem, w ekstremalnych warunkach, robiliśmy go w dwa–trzy dni, ale wtedy robiła to ekipa kilku osób. – Próbuję wyjaśniać, choć już intuicyjnie podejrzewam, że jak już Malgasz na coś wpadł, to łatwo nie odpuści.

– Ale ojcze! My tu w buszu tak rzadko mamy okazję kontaktu z kapłanem... Chcielibyśmy bardzo umieć modlić się słowem Biblii! Tam, w Ambakoana, zrobiliście dobrą robotę! Ludzie byli poruszeni – tłumaczy i z nadzieją wyczekuje mojej odpowiedzi.

– Ale ja tu nie mam nawet żadnych materiałów! – Walczę, choć w tej chwili przebiega mi myśl, że chyba jednak coś mam. W brewiarzu, w zakładkach noszę taki mały skrót porad – jedyna pamiątka po tych kursach. Dosłownie na czterech stronach są tam skrócone porady o kręgu biblijnym.

– No i jak, ojcze?! – Katechista wybudza mnie z zawieszenia.

– Jak to sobie wyobrażasz? Kiedy to zrobimy? Przecież jutro muszę iść do kolejnej wioski! – rzucam ostatnie pytanie, choć podejrzewam, że ci ludzie

i tak znajdą jakiś sposób, aby mnie namówić. Widzę, że są mocno zmotywowani.

– Gdy skończymy odwiedziny, to zbierzemy się jeszcze raz w kościele i zrobimy to po modlitwach – proponuje katechista.

Na twarzy pojawia mu się szeroki uśmiech. Dopiął swego. Ja nie dowierzam, że to technicznie można zorganizować. Ale w końcu to nie pierwszy raz, jak wyskakuje coś nowego...

Odwiedziny skończone. Kolacja spożyta. Głęboka ciemność. Musi być ze dwie godziny po zmroku, czyli około ósmej wieczorem. Idziemy do kościoła. Staję u wejścia i jestem zaskoczony. Pomimo już późnej pory w miejscu modlitwy widzę około trzydziestu dorosłych ludzi: kobiety z małymi dziećmi na ręku, kilku mężczyzn, kilkoro większych dzieciaków pełza pomiędzy ławkami. Rozpaczynam biblijny kurs w pigułce. Zaczynam od porad teoretycznych. O przygotowaniu miejsca modlitwy, kondycji własnej i wyborze tekstu do modlitwy. Ograniczam się do kilku faktów ogólnych o Biblii, jak powstawała, o podziale ksiąg i ich kanoniczności. Więcej poświęcam na naukę o natchnieniu Biblii. Po moich słuchaczach widzę już małe zmęczenie, więc jest to znak do przejścia do zadań praktycznych. Robię wstęp do samego kręgu biblijnego, jego etapów i tego, jak prowadzący powinien kierować tym dzieleniem.

– A teraz poproszę sześć chętnych osób – rzucam zaproszenie. – Koniec teorii. Musimy to przećwiczyć – wyjaśniam i wzrokiem szukam ochotników.

O dziwo, z chętnymi nie ma problemu. Oprócz katechisty zgłasza się jeden mężczyzna i cztery kobiety. Siadają w kręgu, a ja proszę, aby reszta ich otoczyła. To zaproszenie podoba się dzieciom, które rozpoczynają krążyć i wciskać się to tu, to tam.

– Ja poprowadzę, a wy modlicie się Słowem Bożym – instruuję.

Modlitwą wstępną jest pieśń do Ducha Świętego. Pierwsza lektura i odkrywanie tekstu przez każdego z uczestników. Pierwszy etap kończy się przeczytaniem na głos fragmentu, który każdego poruszył lub sprowokował do myślenia. Idzie dobrze. Drugi etap to powtórna lektura i cicha modlitwa prośby, aby sam Bóg wyjaśnił w sercu i dał światło w osobistym kontekście życia. Ostatni etap to lektura po raz trzeci i dzielenie się przeżytym fragmentem. W tym etapie pozostali uczestnicy wyęzają słuch, aby dokładnie usłyszeć, co się wydarzy. Widzę uśmiechnięte i podniecone twarze. Niektórzy kiwają głową na znak, że śledzą całą akcję. Kolejne osoby cytują własny fragment i mówią krótszą lub dłuższą mowę na temat tego, jak Bóg przemówił do nich przez to natchnione Słowo. Skrzętnie notują pozytywne postawy. Są też i błędy, o których będziemy mogli porozmawiać. Wszystko chcę omówić na świeżo. Dobijamy do końca. Kończę krótką modlitwą „Ojcze nasz”.

– Bardzo dobrze. Jestem pozytywnie zaskoczony! – oznajmiam, nie kryjąc zadowolenia. Naprawdę nie spodziewałem się, że tak im dobrze pójdzie.

– Tak?! Dobrze wypadliśmy? – wypytuje z niedowierzaniem jedna z kobiet.

– Są małe błędy, ale więcej jest pozytywnych rzeczy. Naprawdę Wam gratuluję! – Gdy tylko kończę, w kościele rozlega się gromki aplauz.

– Nasz drogi katechista poszedł nie w tę stronę, co potrzeba... – rozpoczynam drugi komentarz i zapada totalna cisza. – Zapewne tak wyszło, bo jesteś przyzwyczajony do nauczania innych i uświadamiania tego, co chrześcijanie powinni, a czego nie powinni robić. – Próbuję go usprawiedliwić, aby nie stracił twarzy. – Tu nie potrzeba pouczania. Starajmy się zawsze zaczynać od sformułowania „ja”... Tak jak pani Lorety, która krótko, ale bardzo konkretnie odniosła się do fragmentu i powiedziała, jak rozumie tekst – pochwałam siedzącą obok mnie kobietę.

Dodaję jeszcze kilka uwag i dziękuję wszystkim za uwagę. Czuję zmęczenie. Cały dzień był wypełniony wieloma aktywnościami i jeszcze ten wieczorny kurs w pigułce.

– Ależ nie, ojciec – rzuca nagle katechista. – Musimy to jeszcze powtórzyć! Póki tu z nami ojciec jest, to chcemy dobrze nauczyć się i praktykować tę modlitwę Pismem Świętym – padają zdeterminowane słowa.

Nie wiem, czy to w ramach rehabilitacji, ale z ust kolejnych ludzi pada potwierdzenie.

– Tak, my też chcemy spróbować! – zabiera głos jeden mężczyzna spoza kręgu.

– *Mazoto ianareo!* (Jesteście gorliwi!) – rzucam żartobliwie. – Nie jesteście zmęczeni?! – zapytuję, mając nadzieję, że większość przytaknie i po prostu pójdziemy już spać.

– Nie, nie, nie – pada po wielokroć.

Ostatecznie wygrywa ich motywacja. Wybieramy nowe osoby i zaczynamy od początku. Już inna osoba prowadzi, a ja spaceruję cicho wokół kręgu. Dopiero teraz dostrzegam, że wszystkie dzieci śpią. Niemowlaki na rękach matek, a te większe poukładały się pod ławkami na ułożonym kawałku materiału. Dochodzi jedenasta w nocy. Idę spać wykończony, ale w sumie zadowolony. Wracam do mojego domku. Ostatkami sił rozkładam moskietę nad miejscem do spania na podłodze. W pozostawionym kubku wody przemywam ręce, twarz i padam na matę. Biorę głęboki oddech. Zamykam oczy i nagle zasypiam.

– Ojczy, wstawaj! My już jesteśmy gotowi. – Szarpie mnie jakaś ręka.

– Neeee! To jakiś koszmar! – Próbuję szamotać się z marą senną.

– Ojczy, wszyscy już w kościele. Obiecałeś nam, że powtórzymy to jeszcze raz rano – dodaje katechista, którego powoli rozpoznaję, orientując się, że już jest ranek.

– Ja!? – wykrzykuję cały zły. – Nic wam nie obiecałem! – Ponoszą mnie nerwy i obnażone kłamstwo. – Przecież za chwilę mam podążać do kolejnej wioski! – mówię nadal podniesionym głosem.

– Ależ, ojcze! Wszyscy już w kościele. – Katechista próbuje rozładować sytuację.

– Och! – wzdycham, bo najchętniej powiedziałbym, aby zszedł mi z oczu. – Jak to w kościele!? – rzucam pytanie i próbuję zrozumieć, co się dzieje.

Na zewnątrz jeszcze ciemno. W oddali słychać rytmiczne uderzenia młota. To pewnie kobiety nieopodal przygotowują posiłek. Wychodzę przed dom. Nikogo nie widać. Katechista nie wiadomo skąd podaje mi kubek wody do obmycia twarzy.

– To jak, idziemy? – zapytuje, kontynuując swoją strategię.

– Tak – odpowiadam szorstko, bo mam nadzieję, że przejdziemy się do kościoła i będzie koniec tego jego kombinowania. Tam nikogo nie ma. Wróć, wypiję kawę i będę mógł ruszyć w drogę.

Podchodzimy pospiesznie do miejsca modlitwy. Potykam się o coś. Idziemy slalomem pomiędzy blisko zbudowanymi chatkami. Docieramy do kościoła stojącego na lekkim wzniesieniu na skraju wioski. W środku tli się jakieś światło. Wchodzę pierwszy.

– Nie do wiary! – wyszeptuję pod nosem.

Pierwsze ławki są zajęte. Nie ma tylu ludzi co wczoraj, ale zgromadziła się najgorliwsza

dwudziestka. Ludzie odwracają się z radością i pozdrawiają mnie.

– Jakżeś tego dokonał? – Totalnie zaskoczony zapytuje katechistę.

On szczerzy swoje zęby w szerokim uśmiechu. Nic nie odpowiada. To mnie niesamowicie ujmuje. W lot dochodzi do mnie ten jego, choć kłamliwy, to bardzo sprytny sposób. Dziwię się bardzo, bo nie tak łatwo uczyć Malgaszów nowych rzeczy. Muszą się do czegoś przekonać, zanim się zaangażują.

Po raz trzeci praktykujemy modlitwę w kręgu biblijnym. Niesamowite. W bonusie otrzymuję coś niespodziewanego. Zamiast szybkiej i skromnej kawy z rana dostaję pełne śniadanie. Kopa dymiącego ryżu, krewetki rzeczne i jeszcze jakieś tam zdrowe trawiska z wodą, czyli sosem własnym. Jest i kawa. Wychodzę w dalszą podróż grubo po ósmej rano. Nie spodziewałem się, że to zdarzenie zapadnie tak bardzo w moje sercu. Gdyby tak wszędzie serca otwarte były na Boże Słowo!

o. Krzysztof Kołodyński SVD
(reportaż ze zbioru Voandalana z Madagaskaru)

Zaskoczenie w Queli

Było to w czasie wojny domowej w Angoli. W maju w 1997 r. przyszli do mnie katechiści z prośbą, abym odprawił mszę św. w Queli. Zapewniali mnie, że droga jest bezpieczna, już rozminowana i wznowiony został na niej ruch samochodowy, a pora sucha sprzyja podróży. Z ciekawości zapytałem, ilu jest w Queli katolików. Z uśmiechem odpowiedzieli, że bardzo dużo. A kiedy była tam ostatnio odprawiana msza św.? Zanim odpowiedzieli na to pytanie, po cichu naradzali się w swoim języku, aż w końcu padła odpowiedź, że szesnaście lub siedemnaście lat temu. Pełen sceptycyzmu stwierdziłem, że w takim razie nie uchował się tam ani jeden katolik. Katechiści stanowczo zaprzeczyli, zapewniając: „Ojcie, codziennie się modlimy”. Szczerze mówiąc, nie dowierzałem im, jednak powiedziałem, żeby wrócili do siebie, ja za trzy tygodnie do nich przyjadę w sobotę, a w niedzielę odprawię mszę św. Widząc ich nieufność, powiedziałem, że moje słowo – jak zwykle mawiam – jest droższe od pieniędzy.

Przy okazji zapytałem mojego przełożonego, o. Joaresa (werbistę z Brazylii), kiedy ostatnio była sprawowana msza św. w Queli. Odpowiedział: „Pracuję tu od pięciu lat i na pewno przez około dziesięć lat lub więcej nikt tam nie jeździł. Droga do Queli była zawsze zaminowana ze względu na kopalnie diamentów w Milando i partyzanci bardzo jej strzegli”.

Zgodnie z obietnicą po trzech tygodniach w sobotę przyjechałem do Queli. Przespałem się w domu katechisty, ponieważ warunki w budynku dawnej misji nie były za dobre. Z rana w niedzielę, bardzo ciekaw sytuacji, udałem się do kościoła. I tu – moje wielkie zdziwienie. Zobaczyłem bardzo dużo osób. Ludzie radośnie śpiewali, utworzyła się długa procesja na wejście. Rozpocząłem mszę św. i... cisza. Mówię: „Pan z wami!” – i nic. No więc powiedziałem, że się odpowiada: „I z duchem twoim!”. Za jakiś czas zaczynam: „Spowiadam się Bogu wszechmogącemu...” – i znowu cisza. Pomyślałem: będzie „fajna” msza. Po kazaniu zapytałem, czy znają mszę w języku kimbundu, ale odpowiedź była negatywna. Więc, chcąc sprawdzić, brnę dalej, zwróciłem się po łacinie: „Dominus vobiscum” i ku memu zdumieniu usłyszałem odpowiedź: „Et cum spiritu tuo”. Jednak nie byłem na taką sytuację przygotowany, bo nie wziąłem ze sobą mszału po łacinie. Spokojnie więc sam dokończyłem mszę.

Po Eucharystii był świąteczny obiad. Po posiłku podziękowałem katechistom za obecność tak dużej liczby osób, ale też zwróciłem im uwagę, że owszem, tutejsi katolicy się modlą, ale niestety

zapomnieli, jak się odpowiada podczas mszy św. Wtedy usłyszałem od nich: „Ojcze, my codziennie czytamy Pismo Święte i modlimy się na różańcu”. Z jednej strony było mi wstyd, że nie do końca im wierzyłem, a z drugiej pomyślałem, że dzięki czytaniu Biblii i modlitwie różańcowej zachowała się wiara katolików mimo upływu szesnastu lat od ostatniej mszy św. w Queli.

To i inne wydarzenia, jakich doświadczyłem w czasie mojej 20-letniej pracy misyjnej w Afryce, przekonują mnie, że dzięki rozmyślaniom nad Pismem Świętym i modlitwie różańcowej katolicy w Afryce mogą zachować wiarę. Tak właśnie stało się w Queli – mimo że wierni tak długo nie uczestniczyli w Eucharystii, która jest przecież sercem wiary katolickiej.

o. Edward Sito SVD, Angola

Pani Emilia

To jedna z tych drobniutkich, wręcz kruchych kobiet. Nie wygląda na swoje 80 lat – idzie żwawym, szybkim krokiem, doskonale orientując się w terenie.

– Wiesz – jej głos dobiega do mnie jasno i wyraźnie – dopiero teraz zaczynam lepiej rozumieć to wszystko. Kiedyś nawet nie zastanawiałam się nad tym. Urodziłam się pod koniec drugiej wojny światowej, moje dzieciństwo to trudne lata powojenne... Potem wyszłam za mąż, pojawiły się dzieci i cały czas wspólna ciężka praca od świtu do nocy, żeby utrzymać dom, rodzinę, żeby dzieci wykształcić, zapewnić im jako taki start w życiu. Nie zabrakło i pięknych, i trudnych chwil, jak to w życiu...

Pani Emilia „zawiesza” się na chwilę, jakby jej wzrok sięgał do minionych, tylko jej znanych wydarzeń.

– Pamiętam jeszcze mszę św. przedsoborową, po łacinie, kiedy ksiądz stał do wiernych tyłem, a my, nie rozumiejąc za bardzo, co się dzieje, modliliśmy

się na różańcu. Po soborze było już łatwiej, rozumiałam więcej z tego, co dzieje się w czasie mszy św. Piękne i pouczające były te czytania, które ksiądz tłumaczył podczas kazania. Bo zwykli szarzy ludzie nie mieli w domu Biblii, byliśmy przekonani, że tylko wybrani ludzie, księża, mogą ją czytać i mówić innym, co to wszystko znaczy.

Na to wspomnienie w drobnej, pomarszczonej twarzy pojawia się cień uśmiechu.

– Nie wiesz, kochana, jak szybko mija życie. Dzieci prędko wyfrunęły z gniazda, potem śmierć męża... – Tu pani Emilii oczy się zaszkliły i zapatrzyła się w dal. – I zostałam sama. Wokół mnie opustoszało, wielu bliskich i znajomych odeszło do wieczności. Ale nie mogę narzekać, dzieci mam dobre, dbają, odwiedzają, pomagają, ale to już nie to, co kiedyś, gdy dom był pełen życia, tupotu nóg, śmiechu, hałasu...

Chwilę wędrujemy w ciszy, staruszka zamyśliła się, po czym na nowo podejmuje temat:

– Zawsze lubiłam czytać, ale kto miał na to kiedyś czas. Teraz, mając tyle wolnego, zaczęłam czytać, ale nie byle co, żadnych czytań, lubię książki historyczne, takie życiowe opowiadania, życiorysy, żywoty świętych. Jakies trzy lata temu na gwiazdkę dostałam Biblię, taką z dużymi literami, dzieci dobrze wiedziały, że oczy już nie te i trudno nawet w okularach dłużej czytać małe literki. Ociagałam się trochę, bo z dawnych lat miałam takie przekonanie, że tylko wybrani mogą czytać tę świętą księgę, a ja przecież nic nie zrozumiem! Ale ciekawość

zwyciężyła. Zaczęłam, jak się potem dowiedziałam, od Nowego Testamentu. Co ja przeżyłam, jakby oczy mi się otworzyły, to były te same czytania co w czasie mszy św.! Im więcej czytałam, tym bardziej wszystko układało mi się w całość! Co za przeżycie! – Staruszka popatrzyła na mnie roziskrzonymi oczami. – Wiem, że moje życie tu na ziemi się kończy, ale te Słowa z Biblii to prawdziwe życie, to jakby światło w mojej starości i samotności... – Poorana bruzdami twarz pani Emilii się rozświećla. – Żałuję, że tak późno odkryłam Pismo Święte, wielu spraw, o których czytam, nie rozumiem, ale to nie szkodzi, jak Bóg zechce, to zrozumie... Ale dziecko, przepraszam, zanudzam cię swoim gadaniem. Do jutra, jak Bóg da... Do zobaczenia.

Wróciłam do domu, słowa starszej kobiety brzmiały jeszcze w mojej głowie, gdy sięgałam na najwyższą półkę po zakurzone Pismo Święte...

Katarzyna Walenciej, Polska

Spis treści

Wstęp	3
Słowo roku	5
Wszystkim dla wszystkich	7
Mów, Panie, bo sługa Twój słucha	11
Moje spotkanie ze Słowem	21
Czytam, tylko nikomu nie mów	23
Pusty kamień	27
Poznać, nie rozumieć	31
Słowo Boga uzdrawia myśl człowieka	37
Słowo stwarzające	41
Moc Słowa	45
Besaleel i Oholiab	47
Honorowe miejsce	51
Niepozorny.....	53
Słowo.....	55
Znam Pasterza	59
Biblia do trumny	61
Z Biblią o poranku	65
Zaskoczenie w Queli	75
Pani Emilia	79

Nasze publikacje, które inspirują wiarą, nadzieją, miłością:

„Misje ocalania” to niezależne od siebie publikacje,
można je czytać w dowolnej kolejności.



Ciekawe rzeczy można odkryć
w „Pamiętniku misjonarza Kota”

**Publikacje są dostępne za darmo,
w formacie epub, mobi, epub, mp3, mp4.**

Wejdź, pobierz, przeczytaj, posłuchaj:



www.werbisci-kleosin.pl/misje-w-mediach



Święty Arnold Janssen pragnął, aby Ewangelia Bożej Miłości dotarła aż na krańce świata. Realizując tę myśl, w latach 1875–89 założył trzy misyjne międzynarodowe zgromadzenia zakonne:

- **Zgromadzenie Słowa Bożego** (łac. Societas Verbi Divini – SVD) jest męskim misyjnym zgromadzeniem zakonnym. Potoczna nazwa „werbiści” pochodzi od łacińskiego verbum, czyli „słowo”. Charyzmatem jest głoszenie słowa Bożego tam, gdzie o nim jeszcze nie słyszano, i przygotowywanie liderów Kościoła lokalnego do samodzielnej pracy ewangelizacyjnej.
- **Zgromadzenie Misyjne Służebnic Ducha Świętego** (łac. Congregatio Missionalis Servarum Spiritus Sancti – SSpS) jest żeńskim misyjnym zgromadzeniem zakonnym. Podstawowym celem jest posługa misjonarska: ewangelizacja, szkolnictwo na wszystkich szczeblach, służba zdrowia, praca wśród uchodźców i osób uzależnionych.
- **Zgromadzenie Sióstr Służebnic Ducha Świętego od Wieczystej Adoracji** (łac. Congregatio Missionalis Servarum Spiritus Sancti – SSpSAP) jest żeńskim kontemplacyjnym zgromadzeniem zakonnym. Jego głównym

charyzmatem jest modlitwa wstawiennicza, zwłaszcza w intencji misjonarzy i misjonek ze zgromadzeń założonych przez św. o. Arnolda i za Kościół powszechny. W sercu życia zakonnego jest nieustanna adoracja Najświętszego Sakramentu.

- **Dom Misyjny św. Kazimierza w Kleosinie** to jedna z kilkunastu placówek Polskiej Prowincji Zgromadzenia Słowa Bożego na terenie Polski. Prowadzimy działalność misjonarską i duszpasterską. Jesteśmy wsparciem dla współbraci posługujących poza granicami Polski.

Pracę misyjną naszego Zgromadzenia
można wspierać, m.in. zamawiając
Misyjne Wieczyste Msze Święte.

- **Co to są Misyjne Wieczyste Msze Święte?**
To Msze zbiorowe odprawiane na mocy przywileju Ojca Świętego, udzielonego Zgromadzeniu Słowa Bożego. Misyjne, bo są wsparciem dla misjonarzy i są przez nich sprawowane. Wieczyste, gdyż codziennie jest odprawianych siedem Mszy Świętych w intencjach osób wpisanych do Księgi Wieczystych Mszy Świętych tak długo, jak istnieje nasze Zgromadzenie.
- **Gdzie są odprawiane?**
Każda z tych Mszy Świętych sprawowana jest w innym kraju, w tym jedna w Polsce.

- **Kogo można wpisać do Księgi Misyjnych Wieczystych Mszy Świętych?**

Każdą osobę – żyjącą lub zmarłą, podając imię i nazwisko:

- dzieci, aby uprosić łaskę dobrego wychowania,
- chorych, aby uprosić łaskę zdrowia,
- stojących z dala od Boga, aby uprosić łaskę wiary,
- zmarłych, aby wybłagać łaskę nieba.

Wpis do Księgi Misyjnych Wieczystych Mszy Świętych może też być duchowym darem z okazji Chrztu Świętego, Bierzmowania, Sakramentu Małżeństwa, I Komunii Świętej, jubileuszu itp.

- **Czy można wpisać zbiorowo, np. rodzinę, dusze czyścicowe?**

W Polskiej Prowincji Zgromadzenia wpisujemy poszczególne osoby pojedynczo. Każda z nich otrzymuje obrazek potwierdzający wpis.

- **Jak dołączyć osobę do udziału w tych Mszach?**

Za pomocą listu, maila, telefonu lub osobiście, a ofiarę przesłać przekazem pocztowym lub bankowym. Trzeba podać swój adres do korespondencji oraz imię i nazwisko osoby, która ma być wpisana. Zmarłego poprzedzić skrótem „śp.” lub „+”.

- **Czym jest ofiara składana przy okazji wpisu do Księgi Mszy Wieczystych?**

Jest to ofiara na misyjne dzieła Kościoła realizowane przez Zgromadzenie Słowa Bożego. Składana przy tej okazji ofiara (minimum 30 zł przy wpisie każdej osoby) jest wsparciem naszych misjonarzy i tych, wśród których pracują.

- **Czy można wpisać osobę, która jest już w Księdze Mszy Wieczystych?**

Można, chociaż wpisana osoba ma już udział w owocach Mszy Wieczystych. Może to być duchowo pożyteczne ze względu na pamięć o tych osobach oraz wsparcie misjonarzy.

- **Czy należy zawiadomić o śmierci osoby wpisanej za życia?**

Wpisana osoba ma udział w owocach tych Mszy Świętych również po śmierci. Nie należy więc powiadamiać.

Polska Prowincja Zgromadzenia Słowa Bożego
wydaje ilustrowany miesięcznik „**Misjonarz**”.

Wydawany jest od 1983 r.

Dostarcza ciekawych informacji o życiu i pracy misjonarzy i misjonek ze zgromadzeń założonych przez św. Arnolda Janssena: Zgromadzenia Słowa Bożego (SVD), Sióstr Służebnic Ducha Świętego (SSpS) i Sióstr Służebnic Ducha Świętego od Wieczystej Adoracji (SSpSAP). Zawiera reportaże z terenów misyjnych, listy od osób prowadzących pracę ewangelizacyjną na wszystkich kontynentach, wywiady z ciekawymi ludźmi, artykuły i eseje o tematyce religioznawczej i ekumenicznej. Poprzez prenumeratę „Misjonarza” każdy z nas może w konkretny sposób włączyć się w dzieło głoszenia Dobrej Nowiny wśród tych, którzy wciąż czekają na Zbawiciela, Jezusa Chrystusa.

Wszystko zaś po to, aby realizować wezwanie założyciela św. o. Arnolda Janssena: „Niech żyje Święty, Trójjedyny Bóg w sercach naszych i w sercach wszystkich ludzi!”.